CENA ZŁ 20

Przekłady wierszy Goethego — Wśród klasyków prozy czeskiej



Odra tygodnik



NUMER 35 (197) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 18 WRZEŚNIA 1949 ROKU ROK V

GEORG STIBI

Nowa granica

Zasady, uznane przez Demokratyczny Blok Partyj w sowieckiej strefie okupacyjnej w Berlinie, jako linie kierunkowe dla jego dalszej pracy, przedstawiają z wielu względów zwracający na siebie uwagę dokument. Odnosi się to do uchwał w całości, w szczególności jednak do ich części pierwszej, zawierającej „zasady polityczne" Bloku. Blok Demokratyczny stawia w centrum swych zadań walkę o przywrócenie jedności Niemiec oraz walkę przeciwko niebezpieczeństwom wojny, w obronie światowego pokoju. Na skutek dokonanego przez mocarstwa zachodnie rozdarcia Niemiec wytworzył się stan narodowego zagrożenia, który czyni konieczną narodową samopomoc naszego narodu. We Froncie Narodowym jednoczą się wszyscy Niemcy, którzy są gotowi walczyć o przywrócenie jedności i niezawisłości swojej Ojczyzny.

Punkt wyjściowy oraz podstawę prawdziwej i narodowej polityki stanowi uznanie uchwał Warszawskiej Konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych przez wszystkich postępowych Niemców. W tych uchwałach, powziętych pod kierowniczym wpływem ZSRR, zażądano jedności Niemiec, zawarcia pokoju i opuszczenia Niemiec przez wojska okupacyjne w rok po zawarciu pokoju. Kiedy w czerwcu ub. roku ogłoszono komunikat Konferencji Warszawskiej, przemilczały wszystkie agencje prasowe oraz dzienniki, kierowane przez mocarstwa zachodnie, żądanie, dotyczące opuszczenia Niemiec przez wojska okupacyjne. Już wtedy dały te mocarstwa do zrozumienia, że dążą do stałej okupacji Niemiec w tym celu, by przeszkodzić Niemcom w usiłowaniach do ponownego zjednoczenia ich podzielonego narodowego terytorium oraz by wykorzystać odciętą część zachodnią Niemiec dla gospodarczego wyzysku, wojskowej mobilizacji i zbrojeń.

Właśnie dlatego stanowią uchwały Warszawskiej Konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych, jak słusznie podkreśla Blok Demokratyczny w deklaracji „zasad", „poważne poparcie dla narodu niemieckiego. Dla każdego postępowego Niemca wynika z tego, jak mówi dalej deklaracja — NARODOWY OBOWIĄZEK występowania przeciwko wszystkim elementom, które skłonne są uważać NOWĄ GRANICĘ MIĘDZY POLSKĄ A NIEMCAMI za pretekst do szczucia narodów przeciwko sobie i do rozpętania nowej wojny".

Szczególne znaczenie przypisujemy temu, że powyższe oświadczenie zostało JEDNOGŁOŚNIE uchwalone i ujęte w programowe sformułowanie „ZASAD politycznych" przez WSZYSTKIE partie, zjednoczone w Bloku Demokratycznym, a więc przez Partię Liberalno-Demokratyczną, Partię Narodowo Demokratyczną, Unię Chrześcijańsko - Demokratyczną, Socjalistyczną Partię Jedności Niemiec, oraz Demokratyczną Partię Chłopską. Tym samym zobowiązały się WSZYSTKIE partie demokratyczne radzieckiej strefy okupacyjnej zwalczać zdecydowanie słowem i czynem wszystkie szowinistyczne wysiłki w kierunku uczynienia z granicy polsko-niemieckiej przedmiotu podżegania do wojny oraz równie zdecydowanie bronić jej jako granicy pokoju. Reakcyjnym imperialistycznym próbom siana niezgody między narodem niemieckim i polskim przeciwstawia Blok Demokratyczny swoją deklarację o „PRZYJAŹNI" z ZSRR, demokracjami ludowymi oraz wszystkimi innymi miłującymi pokój narodami", deklarację o współżyciu w pokoju i zgodzie z sąsiadującą z nami bezpośrednio nową ludową Polską.

Uznanie nowej granicy między Polską a Niemcami, przebiegającej wzdłuż Odry i Nysy, przez wszystkie partie, zjednoczone w Bloku Demokratycznym, świadczy o wysokim narodowym poczuciu odpowiedzialności tych partii. Uznanie to wypływa z świadomości, że każda próba rewizji nowej granicy musiałaby się dla Niemiec zakończyć druzgocącą katastrofą. Stwierdzono, że nie przyjaciele lecz wrogowie Niemiec nadużywają sprawy polsko-niemieckiej granicy do podżegania do nowej wojny i szczucia narodów przeciwko sobie. Ko stoi w obozie pokoju, musi się temu szczuciu najkategoryczniej przeciwstawić, a tylko ten, kto stoi w obozie pokoju, stoi w obozie Niemiec.

Rządzące koła mocarstw zachodnich podejmują wszystkie możliwe wysiłki, by sfałszować historyczną prawdę o wykreśleniu granicy między Polską a Niemcami. W czym leży zamiar i cel tego fałszerstwa? Nowa granica została ustalona wspólnie przez USA, W. Brytanię i ZSRR. Odpowiedzialni mężowie stanu USA i Wielkiej Brytanii nie tylko wyraźnie uznali za słuszne wysiedlenie wszystkich Niemców na wschód od Odry i Nysy, ale sobie tego ŻYCZYLI I TEGO ŻĄDALI. Uznali nową granicę za ostateczną, pozostawiając jej prawne zatwierdzenie konferencji pokojowej. Uczynili to m. in. w tym celu, by wzmocnić w Polsce pozycje polskich stronników USA i Wielkiej Brytanii. Jak długo wydawało im się to możliwe, uznawały Stany Zjednoczone A. P. oraz Wielka Brytania nową polsko-niemiecką granicę. Dopiero z chwilą, gdy bankructwo polskich reakcjonistów było jasne, wykonały Stany Zjednoczone A. P. i Anglia zwrot o 180° i zajęły wrogie stanowisko wobec tej granicy w celu podżegania do wojny przeciwko Polsce Ludowej, innym republikom ludowym oraz ZSRR.



Z dziennika „Berliner Zeitung" przedrukowujemy poniżej w polskim tłumaczeniu dwa znamienne artykuły: „Kościół w Niemczech północno-zachodnich" ks. Othmara Müllnera i „Nowa granica" Georga Stibi.

Szczucie mocarstw kapitalistycznych przeciwko granicy Odra—Nysa jest równocześnie skierowane przeciwko pokojowi i demokracji.

Mocarstwa te związały z tym jeszcze drugi cel: chcą za dymną zasłoną kampanii przeciwko nowej granicy odwrócić uwagę od rozdziału Niemiec, wyprowadzić naród niemiecki bez skrupułów w błąd, oszukać go o prawdziwe narodowe żądania i uczynić go skłonnym do wojny dla swoich imperialistycznych celów. Wreszcie miały mocarstwa zachodnie zamiar przeprowadzić oderwanie Saary i innych terenów na zachodzie Niemiec, nie uzasadnione żadnymi międzynarodowymi umowami.

Niezachwiane występowanie przeciwko wrogim dla Niemiec intrygom mocarstw zachodnich w sprawie granicy Odra—Nysa oraz obrona tej nowej granicy między Polską a Niemcami przed każdym atakiem leży w interesie Niemiec i pokoju i stanowi wielkie narodowe zobowiązanie, które wszystkie partie polityczne sowieckiej strefy okupacyjnej zdeklarowały.

GEORG STIBI

KS. OTHMAR MUELLNER

Kościół w Niemczech
północno-zachodnich

Jeden z wielkich reformatorów powiedział kiedyś, że Kościół jest tylko wtedy wielki, kiedy musi kroczyć schylony pod krzyżem. Słowa te są niewątpliwie słuszne i w latach hitlerowskiego reżimu przeżyliśmy jaskrawy dowód tej słuszności. W czasie, kiedy pod naciskiem faszystowskiego reżimu pogodziły się masy ludzi z nowym porządkiem rzeczy, częściowo z własnej woli, częściowo bezmyślnie, zawsze jednak tchórzliwie, kiedy brunatna powódź wyrzuciła na brzeg dziejowych wydarzeń mnóstwo wyzyskiwaczy, spekulantów, i inne kreatury bez charakteru, kiedy nawet większość duchownych ewangelickich wywracała pobożne oczy ku niebu i wznosiła żarliwe modły do wszechmocnego Boga za ukochanego Fuehrera i armię — zaczęły się powoli napełniać więzienia i obozy koncentracyjne tymi, którym charakter nie pozwolił na zmianę swoich poglądów z dnia na dzień i do uznania ustroju państwowego i światopoglądu, którego istocie brakowało prawdy, miłości i sprawiedliwości a więc fundamentów ludzkiego prawa. Równocześnie rozlał się strumień emigrantów, prześladowanych z przyczyn rasowych, politycznych i religijnych, za granicą. Pewien poważny człowiek niedawnej przeszłości powiedział, że emigracja czyni z emigranta bohatera albo go też duchowo kompletnie łamie. Ja sam, żyjąc jako ideowy emigrant ze swą rodziną za granicą, poznałem setki losów emigranckich, przeszedłem przez wielkie niże duchowej beznadziejności i gorzkiej nędzy. ponieważ kraj, który udzielił mi azylu, odmówił mi, jako obcokrajowcowi, wszelkiego zajęcia. Dla utrzymania rodziny przy życiu byłem zmuszony wykonywać piłeczką wycinanki, które to zajęcie powierzył mi komitet uchodźczy.

Ale jednego dnia minęły i te czasy, system brunatny został złamany, więzienia i obozy koncentracyjne wydały pozostałych przy życiu, a większość ewangelickich duchownych zaopatrzyła modły za ukochanego Führera w czerwony nawias. Hitler i jego wierni zostali strąceni, nacisk zewnętrzny, ów krzyż zewnętrzny, zostały z Kościoła zdjęte, a Kościół, który stał się wielki i wewnętrznie niezmiernie bogaty przez kilku nieugiętych aż do samej śmierci wyznawców, poczynał na nowo być małym, bardzo małym.

Żyję na zachodzie Niemiec i z tego powodu mogę mówić o sprawach kościelnych, jak one tutaj wyglądają, a szczególnie w Szleswig-Holsztynie, a więc tym kraju, który nie bez przyczyn uchodzi za ziemię obiecaną reakcjonistów i prawie że nie maskujących się faszystów hitlerowskich. Tak jak ów namiestnik Trzeciej Rzeszy rozszerza przykry zapach najgorszej reakcji na odcinku politycznym na wszystkie cztery strony świata, czyni to samo w dziedzinie kościelnej.

W tutejszych gminach kościelnych trudno poznać, że istniał kiedyś ruch oporu także wewnątrz kościoła. To nie są już gminy kościelne, to są cmentarzyska kościelne, to są sypialnie oziębłości, których mieszkańcami są przeważnie uchodźcy ze wschodu, wśród których jest niestety bardzo wielu czekających na kazanie o wyprawie krzyżowej, w którym usłyszeliby obietnicę bliskiego wybuchu trzeciej wojny światowej i związanego z tym naturalnie powrotu na Pomorze lub Prusy Wschodnie. Poza tym nasze gminy kościelne są jeszcze kramami tzw. krajowego kościelnego dzieła pomocy, które potrafiło przy pomocy darów anglosaskich kościołów rozwinąć wielkie przedsiębiorstwo handlowe. Nie słyszeliśmy jeszcze nigdy, by któryś z przodujących tutaj mężów kościoła zastanawiał się kiedy poważnie nad tym, czy sprzedanie biedakom i nadzarzom zużytej odzieży i obuwia, słodyczy, maszynek do golenia i wózków dla dzieci jest godne Kościoła. Czy nasz Zbawiciel nie powiedział: „Za darmoście otrzymali, za darmo oddajcie?"

Stosunki te nie potrzebowałyby nas właściwie tak dalece niepokoić. Jest już tak, że Kościół utracił swą sól życia i że za sztucznie nałożoną religijną maską chowa się przerażająca pustka. Znacznie poważniejszą sprawą jest to, że odduchowiona świątynia tego Kościoła staje się placem coraz silniejszej reakcji politycznej. Wystarczy, by duchowny, bojownik ruchu oporu, był członkiem VVN, aby się stał „łowną zwierzyną". Cóż powiedzieć na to, gdy biskup krajowy wyszydza i karze dyscyplinarnie duchownego za to, że ten jest członkiem VVN, gdy go wyszydza z powodu cierpień, poniesionych w okresie nazizmu? Co powiedzieć o kierownictwie kościoła, na którego czele stoi tenże biskup krajowy, które wyklucza duchownego z zarządu kościelnego i wytacza przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne jedynie dlatego, że ten protestował przeciwko wprowadzeniu komitetu wyborczego, złożonego całkowicie z członków NSDAP, wśród których znajduje się jeden członek byłej organizacji SS? Idzie w dodatku o duchownego, który jest znany jako bojownik ruchu oporu w kraju i zagranicą i który otrzymał, jako jedyny ewangelicki duchowny swego kraju, zaproszenie biskupa w Chichester do Anglii, ponieważ jego życie było zagrożone.

Kościół, w którego łonie zachodzą podobne rzeczy, pozbawi się sam prawa do szacunku wszystkich demokratycznie myślących ludzi w kraju i zagranicą. Biskup, który tego rodzaju karę dyscyplinarną na duchownego nie tylko pieczętuje swoim nazwiskiem, ale do niej jeszcze zachęca, który słowem i czynem wykazuje zachowanie, niegodne biskupa, powinien schronić się do swej izdebki i zapytać samego siebie, czy ma jeszcze prawo być biskupem, czy też zrobiłby lepiej, zdejmując swój złoty biskupi krzyż.

Mam nadzieję, że moje wywody otworzą przecież wielkiej ilości czytelników oczy na to, w jakim kierunku prowadzi kurs kościelny tutaj, w północno-zachodnich Niemczech. Wiem, że mój artykuł przysporzy mi ze strony ludzi, którzy mnie zawsze nazywali „pastorem czerwonych" płomienną nienawiść. Chcę ten tytuł, którym mnie obdarowano — podobnie jak kiedyś Gwizowie w Niderlandach — nosić chętnie jako tytuł honorowy. Niechby nasze kościoły krajowe miały jak najwięcej „pastorów czerwonych". Może by wówczas lepiej wyglądało w chrześcijaństwie. Dlaczegóż to Kościół, który mówi tak często o Chrystusie i „pokoju na ziemi", pozostawia znienawidzonym przez siebie czerwonym propagandę pokoju światowego i zwoływanie światowych kongresów pokoju? Czyż nie byłby on w pierwszym rzędzie powołany do stałego głoszenia ze swych ambon: „Złożyć broń"? Jest naszym głębokim przekonaniem, że czasy państwowego kościoła, teologicznych lizusów i księży salonowych, zbliżają się ku końcowi. Myślący człowiek współczesności, który przeszedł przez szkołę niezmiernego cierpienia, chce widzieć czyny, także na odcinku religijnym. Ten człowiek jest syty pustych frazesów, także na odcinku religijnym. Reformacja, rozpoczęta przez dra Marcina Lutra, nie jest jeszcze ukończona. Tak jak on swego czasu ugodził straszliwie papiestwo, potrzebaby i teraz, i nie na ostatku w naszej niemieckiej ojczyźnie, obezwładnić owych ewangelickich papieżyków, którzy uchodzą na zewnątrz za owce, a są wewnętrznie drapieżnymi wilkami i pomocnikami wszystkich arcyreakcjonistów i zbrodniarzy wojennych.

Ks. Othmar Müllner.

Autor powyższego artykułu, ks. Müllner z Lauenburga nad Łabą, został, jak z artykułu wynika, wykluczony z zarządu kościelnego i poddany postępowaniu dyscyplinarnemu. Przyczyną tego był protest ks. Müllnera przeciwko wprowadzeniu w czasie wyborów do korporacji kościelnych komitetu wyborczego, złożonego wyłącznie z byłych członków partii nazistowskiej. Wniosek o postępowanie dyscyplinarne wyszedł od człowieka, który był dowodnie „starym bojownikiem" a nawet członkiem SS. Wnioskodawca jest także podejrzany o fałszowanie dokumentów i nie należy nawet do kościoła krajowego. Był on jednym z członków owego komitetu wyborczego, który, z wyjątkiem dwóch duchownych, składał się w całości z Pgs (Parteigenosse).

Aczkolwiek ten wyborny „trybunał dyscyplinarny" zmuszony był uznać wielką pracowitość księdza Müllnera i jego zasługi około odbudowy zupełnie martwej gminy kościelnej, to jednak skazał ks. Müllnera na zmniejszenie poborów o jedną piątą na okres trzech lat oraz na zapłacenie kosztów sądowych. Stosownie do tego musiałby zapłacić samej kary około 4.5000 marek niemieckich. Więc w czasie, kiedy w zachodniej strefie zwalnia się wybitnych zbrodniarzy wojennych po zapłaceniu „grzywny" w wysokości 1.000 marek niemieckich, zasądza się antyfaszystowskiego duchownego na blisko pięciokrotnie wyższą karę, ponieważ odrzuca SS-owców jako członków komitetu wyborczego.

Jest rzeczą oczywistą, że tym wyrokiem chciano uderzyć w pierwszym rzędzie nie pastora, lecz bojownika ruchu oporu, członka tak znienawidzonego w kołach zachodnio-niemieckich neofaszystów VVN.

Ogólnie stanowi powyższy wypadek bardzo pouczającą ilustrację obecnego stanu Kościoła. Niestety nie usłyszeliśmy dotychczas z ust biskupa dr. Dibeliusa. który wydaje fałszywe oświadczenia o stanie Kościoła w trefie wschodniej, ani słowa na temat opisanej tutaj faszyzacji Kościoła ewangelickiego w strefach zachodnich.

ZDZISŁAW OBRZUD

Urok i powaga Weimaru

Postać Goethego, którego dwóchsetlecie urodzin obchodzą dzisiaj Niemcy, a z nimi także cały świat postępowy, miłujący sztukę i myśl wolną, nastręcza wielkie trudności wszelkiej interpretacji. Psychika autora „Fausta", bogata i oryginalna, zdumiewająca swoją wielostronnością i żywiołową potęgą i zaskakująca głębokimi przeciwieństwami wewnętrznymi, które w niej tkwiły; jego wspaniała i różnorodna twórczość: liryczna, epicka, dramatyczna, naukowa, ogarniająca cały olbrzymi świat ludzi i przyrody, a pełna pr[illegible]nów i nie wolna od pytań bez odpowiedzi oraz prób rozwiązania zagadnień nie harmonizujących ze sobą — przyczyniła się do tego, że, mimo całej olbrzymiej biblioteki, którą o Goethem w samych Niemczech napisano, do dziś dnia nie wszystko z jego dzieła i życia zostało wyjaśnione. W ojczyźnie poety powstała i utrwaliła się na dłuższy czas oficjalna legenda Goethego, która tym mocniejsze miała wśród ogółu niemieckiego podstawy, że zadowalała sposób myślenia i pewne potrzeby przeciętnego niemieckiego mieszczanina oraz imperialisty. Goethe, wyniosły „olimpijczyk", nieco chłodny, a zawsze pełny poczucia harmonii i panowania nad sobą, bezwzględnie zmierzający do jedynego tylko celu: pełnego rozwoju swojej osobowości — to interpretacja postaci i dzieła autora „Ifigenii w Taurydzie" i „Tassa", która panowała długo w oficjalnej niemieckiej historii literatury. Oprócz tej interpretacji była także i druga, u wielu niemieckich historyków literatury i kultury cudacznie, wbrew logice łączona z koncepcją „olimpijczyka", nie zniżającego się do przyziemnych, zgiełkliwych walk politycznych swojej doby. Goethe to miał być także wzorowy, poczciwy, pracowity i wierny mieszczanin niemiecki, który zawsze potrafił zachować lojalność wobec władzy i podporządkować interes jednostki interesowi państwa. Ta intepretacja była droga sercom niemieckich mieszczan i czynników rządowych. Mnożyły się przeto zbiory i wybory „złotych myśli" Goethego, których skrzętni wydawcy starali się ukazać narodowi genialnego poetę i myśliciela jako wyśmienitego „obywatela" niemieckiego, który towarzyszy przeciętnemu człowiekowi niemieckiemu w jego drodze do silnego państwa („Goethe als Begleiter") i wskazuje mu drogę do chwały Germanii („Goethe als Wegweiser").

Znaleźli się jednak w Niemczech krytycy tradycyjnej opinii, którzy zachwiali mocno przekonaniem, zarówno o niewzruszonej „olimpijskości" Goethego, jak i o jego wzorowości mieszczańskiej. Fryderyk Gundolf podkreśla w swej książce o Goethem powagę i tragizm tytanicznej walki poety o wyzwolenie swej prawdziwej natury; walki, która była nie tylko łamaniem się z samym sobą, ale także walką z ograniczeniem środowiska, w którym mu żyć było sądzone, z swoim małodusznym społeczeństwem. Goethe sprzed podróży do Włoch walczy z małością ludzi i nieludzkością bogów w „Goetzu", „Prometeuszu", „Mahomecie", „Cezarze". Goethe przeprowadzający odkrywcze badania z zakresu morfologii roślin oraz anatomii porównawczej i krytycznie odnoszący się do wszelkiej idealistycznej spekulacji, wszelkiej filozofii, która nie opiera się na danych zmysłowego doświadczenia, całe życie walczył o wolność myśli, wolność badań naukowych. Chociaż nie mógł w sobie zwalczyć niechęci do pewnych przywódców i metod, to jednak przyjął ideę naczelne wielkiej rewolucji francuskiej, przyjął jej następstwa. Była w nim wielka potrzeba ładu, harmonii i samokontroli („Selbstbeherrschung"), ale swój spokój, czy tylko pozorny spokój, nie bez goryczy smutnego wyrzeczenia („Entsagung"), zdobył sobie długotrwałym i gigantycznym trudem życiowym. Przeżywał wzloty, ale i upadki, przechodził niebezpieczne przesilenia. Bywał — jak sam o sobie powiedział —:

— himmelhoch jauchzend, zum Tode betrübt. —

Wahał się i przeżywał rozdwojenie, jak Werter, Clavigo, Fernand, Egmont i Tasso. Był ściganym przez Eumenidy Orestesem, zanim przypłynął do portu na statku wychłostanym i uszkodzonym przez wichry. *Tomasz Mann*, współczesny kontynuator goethowskiego humanizmu, w swoim przemówieniu o Goethem z okazji wręczenia mu nagrody im. Goethego (Goethe-Nationalpreis), podkreślił, że ta harmonia, ten umiar i klasycyzm, który łączymy zazwyczaj z imieniem Goethego, to nie coś, co było od razu dane, co przyszło lekko, ale potężne dokonanie, wynik działania sił charakteru, które zsublimowały, przezwyciężyły, zużytkowały i oczyściły zarazem demoniczne skłonności poety, które groziły niebezpieczeństwem i mogły przynieść zniszczenie. I dodał zaraz, że coś z demonizmu, z tego tajemniczego, nadludzkiego i nieludzkiego pierwiastka, który wyraził się w niektórych dziełach i powiedzeniach Goethego, zostało na zawsze w naturze autora „Fausta", w polaryzacji jego psychiki, w której było miejsce, zarówno na pierwiastek boski jak i diabelski, zarówno na niestrudzone dążenie i głód płodnego czynu, charakterystyczny dla Fausta, jak i na szyderczy nihilizm, cechujący Mefistofelesa. Wielki pisarz współczesnych Niemiec dostrzega dialektykę natury autora „Fausta", dialektykę, która, ułatwia mu ujęcie dialektyki świata i bytu.

Fryderyk Engels trafnie ujął społecznogospodarcze podłoże tej rozterki, którą uważny czytelnik i badacz dostrzega w różnych utworach poetyckich Goethego i w jego sprzecznych wypowiedziach, zawartych w jego korespondencji i w rozmowach zanotowanych przez Eckermanna. Bujny i spragniony wolności geniusz poety nie zawsze umie przeciwstawić się ograniczoności środowiska, w którym mu losy żyć kazały, z którym się zżył i które przynosiło mu różne korzyści i chwile zadowolenia. Syn tajnego radcy cesarskiego i patrycjusza frankfurckiego, po matce i po ojcu potomek rodu wielkomieszczańskiego, sam rezydent i tajny radca z kompetencjami ministra w księstwie weimarskim, musiał pozostawać pod wpływem tej tradycji i tego otoczenia. Czasem zwyciężał w nim geniusz zrywający z przesądami i proroczo przewidujący przyszłe drogi rozwoju, czasem jednak górę brał ostrożny, szukający kompromisu filister.

W życiu, twórczości artystycznej i naukowej oraz działalności publicznej Goethego wyraziły się wszystkie żywotne prądy i wszystkie zasadnicze przeciwieństwa jego epoki: epoki wojny siedmioletniej i nagłego wzrostu potęgi Prus, do niedawna małego niemieckiego państwa, wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych i wielkiej rewolucji francuskiej, wojen napoleońskich, walki Niemców o wyzwolenie narodowe, reakcji „świętego przymierza" i rewolucji lipcowej. Epoka ta niosła metody: racjonalistyczną i empiryczną w badaniu naukowym i filozofowaniu i dążenia do państwa konstytucyjnego i ustroju demokracji politycznej, liberalnej, w życiu politycznym. Czołowi intelektualiści epoki: racjonaliści i empirycy, deiści, utylitaryści, masoni, demokraci mieszczańscy, głosili i planowali ustrój społeczny oparty na podstawach rozumowych i prawach natury, a z prawa naturalnego i „naturalnego rozumnego porządku świata" wysuwali postulaty wolności i równości wobec prawa wszystkich „obywateli" oraz braterstwa wszystkich ludzi — wysnuwali „prawa człowieka". Tym samym pobudzili samopoczucie i energię życiową oraz rozmach twórczy bardziej oświeconej części mieszczaństwa i ludu rzemieślniczego i dali hasła przygotowanej przez zmiany w technice produkcyjnej, gospodarce pieniężnej i wymianie handlowej rewolucji. Hasła demokratyczne zaczęły stopniowo docierać także i do bardzo ciemnej zrazu masy ludu wiejskiego. Apologia człowieka prostego, „z natury dobrego", przeprowadzona przez optymistycznych racjonalistów i humanitarystów doby oświecenia, i płomienna apoteoza człowieka w idylicznym jakoby „stanie natury" ze strony Jana Jakuba Rousseau'a, sprowadziły rewolucję uczucia, zrazu słabego, o cecha sztucznego i pozującego sentylmentalizmu i kult ludowości, zrazu mocno stylizowanej i etnograficznej jedynie. Biegu jednak świata już się powstrzymać nie dało. Idee, stwierdzenia naukowe i hasła trzeźwych utylitarystów i empiryków angielskich oraz krytycznych i sceptycznych racjonalistów francuskich, na tle dokonujących się przemian w życiu gospodarczym i technice, pobudziły siły witalne trzeciego i częściowo także czwartego stanu i w ten sposób pośrednio, wbrew intencjom uczonych i publicystów racjonlistycznych i sceptycznych, rozbudziły dążności irracjonalne, które wymagały zaspokojenia. Romantyzm, z jego kultem uczucia i wszelkich czynników irracjonalnych, miał swe korzenie już w epoce oświecenia. Druga sprzecz-

(Dokończenie na stronie 3)



Popiersie Goethego

W roku 1949 jako w roku Goethego ODRA przyniosła następujące materiały goethowskie:

Czym jest Goethe dla demokratycznych Niemiec w roku 1949?

Fryderyk Engles: **O Goethem.**

J. W. Goethe: **Do pani Marii Szymanowskiej** (tł. Jan Koprowski).

J. W. Goethe: **Nadzieja** (tł. Tadeusz Bocheński).

J. W. Goethe: **Pieśń utrudzeńca** (tł. Tadeusz Bocheński).

J. W. Goethe: **Wiosna** (tł. Tadeusz Bocheński).

Nico Rost: **Goethe w Dachau.**

Jan Wypler: **Goethe** (G. a sprawy polskie).

HENRYK WORCELL

Rys. Marian Wyrożemski

II U NAS INACZEJ

Adam nachylił się nad łóżkiem na którym spoczywała Maria z Jędrusiem.

— Już nie śpisz?

— Nie, która godzina?

— Trzy na czwartą.

— To śmieszne... Wiesz, zdawało mi się, że śpię u nas w pokoju i że już rano, a tyś już wstał i rozmawiasz na podwórzu z Wickiem. Z kim tam rozmawiałeś?

— Z Zielińskim. To dawny gajowy księcia Sanguszki, teraz ma gospodarstwo. Przyjedzie do nas wieczór.

— A z matką rozmawiałeś?

— O tak... Mówiła o tobie, że mam „smyśną" żonę.

— Co to znaczy „smyśna"?

— No, ładna, piękna, albo coś pośredniego.

— Jaak? — zaśmiała się Maria.



— I z ojcem też rozmawiałem, a raczej on mówił. Józka krytykował, że źle gospodaruje. Trochę mu wierzę, ale i domyślam się, do czego on dąży. Chce mi dać do zrozumienia, że jak Józek będzie dalej gospodarował, to wszystko pójdzie na marne. I jestem pewny, że jeszcze dziś albo jutro wyraźnie mi zaproponuje, żebyśmy się tu przeprowadzili i zajęli gospodarstwem.

— A Józek z Bronką gdzie? — porywczo zapytała Maria.

— Jakto, nie wiesz? Poza Wałbrzych, na nasze miejsce chciałby ich wyprawić.

— Żeby nas przeklinali do końca życia za to, żeśmy ich stąd wypędzili!

— No wiesz Maryś, jeżeli chodzi o ścisłość, to ja mam może większe prawo do tych sześciu morgów niżeli Józef. On sobie tu siedział spokojnie i żył, a ja się musiałem włóczyć po świecie i zdobywać chleb. Ale mnie o to nie chodzi, bo wiem, że gdyby nawet nie było Ziem Odzyskanych, to i tak lepiej byśmy żyli niż oni na tym gospodarstwie.

— Ach, naturalnie — przytaknęła Maria, unosząc się na łokciu i spoglądając na śpiącego Jędrusia — co do tego, to ja mam takie wyczucie, taką pewność, że wszędzie damy sobie radę. A tu... mój Boże, gdzież ja bym tu... Ja bym się tu zapłakała za naszym domem...

Umilkli rozglądając się krytycznie po pokoju. Dwa okna bez firanek, dwa małe łóżka, dwa krzesła, szafa, stół i żelazny piecyk — oto wszystko, co się tu znajdowało. Tu mieszkał Józef z żoną, a starzy Gajusowie w kuchni po drugiej stronie sieni. Wszystko w tym gospodarstwie — jak zresztą w całej osadzie — było miniaturowe i ciasne, począwszy od konika, skończywszy na stodółce — Adamowi zdawało się, że i oddychać trzeba tu oszczędnie i głosu nadużywać nie wolno.

— Widzisz Maryś — podjął znów — ja ojca doskonale rozumiem. Przyjechaliśmy tu jak wujaszkowie z Ameryki, ojciec czuje u nas pieniądze i chciałby trochę odżyć przy nas. Żebyś widziała jak on się ucieszył tym kożuszkiem, jabłkami, tytoniem. I buty od razu wdział i już się chwalił przed Zielińskim... Ją się staremu nie dziwię. Przy tym może i naprawdę chciałby gospodarstwo podnieść. Ale widzisz, tu chodzi o co innego. On nas absulutnie nie rozumie. On jest pewny, że gdy nam zapisze tych sześć morgów i domek, to zaraz się tu sprowadzimy. On jest taki sam jak wszyscy tutejsi ludzie. Oj, jak ja ich rozumiem... uderzył się palcem po nosie i wciągnął powietrze — ja czuję, jaką oni stęchlizną śmierdzą.

W tej chwili do pokoju weszła żona Józefa, Bronka. Była to kobieta mała, ruchliwa, o wiecznie uśmiechniętej twarzy, jedna z tych nieocenionych na wsi kobiet, które nie mając kawałka ziemi potrafią uchować krówkę i dziecku zawsze wetknąć do buzi skibkę chleba. Ale Bronka nie miała jeszcze dziecka.

— Ranyście wy! — zawołała od progu — nie zimno wam tu? W piecu całkiem wygasło, czekajcież, to wam zapalę.

— Jaka ona śmieszna, to Bronia — zaśmiała się Maria — „Ranyście wy". Adaś, pomóż-że jej, ona ma tyle roboty.

— Aj, jaka tam robota... Siedźcież se spokojnie jak wam dobrze. Powiedzcie ino, co wam na wieczerzą zrobić.

— Rób co ty chcesz, Broniu — odrzekła Maria — tylko dla Jędrusia ugotuj mleka.

— tak nie będzie, kolację zrobimy uroczystą. Kanapki z szynką, studzieninę, wódeczkę...

— O, nie — zaprzeczył Adam

— To ja ci Broniu pomogę! — zawołała Maria zrywając się z łóżka — Oooo... popatrzcie no, ten smyk już nie śpi. Jędrusiu, wiesz gdzie ty jesteś?

— Co Józek robi? — zapytał Adam Bronkę.



— A coś tam na oborze...

Znalazł brata w stajni przy mieszaniu plew i ziemniaków. Z jednej strony stały dwie krowy, a raczej krówki i jedno cielę, z drugiej kucyk i w osobnej przegródce świnia .

— Fu! jak tu gorąco — zawołał Adam — Czy tu zawsze tak? To nie dobrze. Najlepsza temperatura siedem — dziewięć stopni, a tu chyba z piętnaście. Niech drzwi będą otwarte. Co one dostają? — zapytał wskazując na krowy.

— A ziemniaki z plewami i trochę siana.

— Śruty albo otrąb nie dajesz?

— A skąd wziąć? Przecie dla świni trzeba.

— Warto kupić, to się opłaci, więcej byście masła sprzedawali. Pożyczki nie możesz dostać?

— Ta może by i dali, ale potem trzeba terminowo spłacać i ciągle myśleć, skąd tu wziąć.

Gdzieś już Adam słyszał podobne słowa, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie. I miał ochotę wytłumaczyć bratu, że pożyczkę na dobrych warunkach zawsze warto zaciągnąć, bo pieniądz robi pieniądz, powiększa gospodarstwo, zmusza dłużnika do większego wysiłku, większej ruchliwości — jednym słowem działa magicznie — ale gdy spojrzał na owiniętą szalem twarz Józefa, zrozumiał, że tym pouczeniem nic w gospodarstwie nie zmieni, a tylko przykrość bratu sprawi.

— Słuchajno Józku — rzekł przystępując do niego — chciałem się już dawno ciebie o coś zapytać.

— Co takiego? — zapytał Józef prostując się nad cebrzykiem i z wyraźnym zaciekawieniem patrząc na starszego brata.

— Czy ty wiesz, że ojciec coś kombinuje?

Józef nie odpowiedział — w jego milczącej, owiniętej twarzy Adam wyczuł zaniepokojenie.

— Mnie się zdawało, że wiesz o tym. On chce, żebym ja się tu sprowadził, a ty z Bronką na nasze gospodarstwo.

— Ahaa... — rzekł Józef opuszczając głowę — to tak... Ja się coś domyślał — umilkł, pochylił się nad cebrzykiem i zaczął mieszać plewy. Po chwili znów się wyprostował i już wyraźnie, dobitnie powiedział:

— Ty, Adam, rób jak uważasz. Masz takie same prawo do tego gospodarstwa jak i ja. Chcesz — to przyjeżdżaj i gospodaruj. Ale ci od razu powiem, że my na zachód nie po-je-dzie-my. Mogę pójść do fabryki, mogę w lesie zarabiać, ale na zachód nie pojadę.

Adam zaśmiał się szeroko, swobodnie, jak to nieraz czynił wobec Jędrusia, gdy ten się uderzył albo potknął o jakiś grat kuchenny.

— No to ja ci też coś powiem: ty sobie rób co chcesz, kombinuj jak chcesz, ale na nasze gospodarstwo was nie puścimy. My na wschód nie po-je-dzie-my. Ot i wszystko.

W godzinę później domownicy i goście zasiadali w kuchni do kolacji. „Zasiadanie" trwało bardzo długo. Maria chciała jeszcze ubrać pięknie Jędrusia, Bronka swoim zwyczajem krzątała się gdzieś po kątach, a goście — to znaczy jakieś dwie kobiety, dalekie krewne czy powinowate Gajusów, oraz były gajowy Zieliński — certowali się i kazali prosić jak do uczty weselnej, przedłużając ceremoniał rozpoczęcia kolacji w nieskończoność. Adam skrócił sobie męki „zasiadania" pisaniem listu w pokoju brata i nareszcie doczekał się tej złośliwej uciechy, że go Bronka i Maria musiały prosić do stołu.

Wszedł do kuchni z rozmachem, usiadł obok matki i pierwszy podniósł kieliszek.

— No — rzekł zmuszając wzrokiem obce kobiety do zajęcia miejsca przy stole — wypijmy na zdrowie mamy i ojca.

Brzękły kieliszki, zadzwoniły widelce, ale nikt nic nie mówił, bo prócz Jędrusia, który nie widział powodu, dlaczego by nie chwycić garścią kawał studzieniny — wszyscy pochłonięci byli walką ze swymi namiętnościami: mężczyźni do kieliszków, kobiety do talerzy. Adam między jednym kęsem a drugim obserwował ojca, który spożywał kolację w jakimś nabożnym, a przez to i śmiesznym skupieniu. „Po co tyle powagi do kawałka szynki?" Nie wiadomo dlaczego przypomniał mu się ów przykry moment, jaki przeżył, patrząc z okien wagonu na smutny krajobraz w okolicy Bochni — i dopiero teraz zrozumiał, dlaczego wtenczas odczuł niepokój i jakby chęć powrotu pod Wałbrzych: oto po prostu zląkł się tutejszej biedy. Nędzne chałupki i pokratkowane pola świadczyły o ubóstwie mieszkańców, tym ubóstwie, od którego on już na Ziemiach Odzyskanych odwykł. Nie wiadomo też, dlaczego spojrzał na zegar, który od niepamiętnych czasów wisiał ciągle na tym samym miejscu, potem na statuę Matki Boskiej z Lourdes, którą pamiętał od najwcześniejszego dzieciństwa i nagle zapragnął upić się aż do zamroczenia.

— Ano, na czyje zdrowie teraz pijemy? — zapytał, sięgając po kieliszek i rozglądając się po obecnych.

— A na czyjeżby, jak nie na wasze? — odrzekł Zieliński. — Niech żyje Adaś i jego żonka!

— A właśnie, że nie — sprzeciwiał się Adam — wypijmy na zdrowie Ziem Odzyskanych.

Stuknęli się kieliszkami i już śmielej sięgnęli do misek, kobiety pochwaliły Marię za dobrą studzieninę, Józef odrzucił szalik z szyi, Maria klapsnęła Jędrusia po rączce, bo znów sięgał do półmiska.

— Nie wolno brać paluszkami! Fuj, co za łakome dziecko!

— To po matce ma — wtrącił Adam.

— Właśnie! — zaśmiała się Maria — on zawsze tak: wszystko co w Jędrusiu złe, to po matce, a co dobre, to po ojcu.

Nareszcie towarzystwo ożywiło się, na twarzach zakwitły rumieńce i uśmiechy, Bronka droczyła się z Jędrusiem, starsza krewniaczka mówiła: „fajna galarepa", a ojciec zwrócił się do Adama z zapytaniem:

— Bijecie co roku świnię?

— Dwie — odpowiedział Adam.

— Mój Boże — westchnęła starsza krewniaczka — a my tu ani jednej. Co się uchowa, to trza sprzedać, żeby jaki grosz był.

HENRYK WORCELL.

Życiorysy miast

O cudach Milicza

Pierwsza godzina upływa na gromadzeniu wrażeń zdecydowanie ujemnych. Cóż, miasto nie malownicze, raczej brzydkie niż ładne, zeszpecone przez zniszczenia wojenne. Brak zabytków, jeśli nie liczyć skromnego, barokowego kościoła, żadnego tchnienia historii, żadnej tradycji, żadnej nastrojowości.

Dopiero po opuszczeniu śródmieścia i przeniknięciu do parku, gdzie za monumentalną, przystrojoną herbami bramą, na której po Kampani Wrześniowej umieszczono megalomańską tablicę, głoszącą, że Joachim Carl Graf von Maltzan wyruszył stąd w roku 1939 „zum grossdeutschen Freiheitskampf", dopiero za ową bramą po przeniknięciu do parku człowieka ogarnia czar. Urok wspaniałej przyrody. Jasny pałac Maltzanów połyskuje swą bielą jak perła na tle ciemnych sędziwych drzew. Przed nim olbrzymi gazon jak zielone jezioro. Tu i tam na krawędziach trawników grupy karminowo-czerwonych i fiołkowych, dolnośląskich rododendronów, o liściach twardych i połyskliwych jak skóra, skontrastowanych bajecznie z wiotką tkaniną kwiatów.

W oficynach, zabudowaniach dworskich znać jeszcze spustoszenia wojenne. Gruz, słoma, jakieś podarte szmaty, porzucone menażki żołnierskie, wszystko to świadczy o tym, że kwaterowało tu niegdyś wojsko. Na tarasie jakiś golec mitologiczny pozbawioną dłoni prawicę wznosi w kierunku grupy potężnych dębów. Ale pałac jest już doprowadzony do jakiego takiego porządku. W oknach błyszczą już szyby. Okazuje się, że rezydencję Maltzanów objęły młodzieżowe organizacje. Zdaje się, że harcerstwo i ZMP. Sądzę, że trudno o racjonalniejsze wykorzystanie obiektu. Tyle tu powietrza w tym parku. Tyle słońca, zieleni. Tak wspaniałe warunki dla młodzieżowej kolonii.

Okrążam bryłę pałacu, obchodzę zabytkową stajnię i oficyny, wdzieram się w zdziczałe zakątki na peryferiach parku. Szczątki gotyckiej budowli obrośnięte splątaną zielenią zastępują mi niespodzianie drogę. Są to ruiny zamku spalonego w roku 1536. Ten widok rozsypujących się cegieł, po których z cichym szelestem smyrgnęła spłoszona jaszczurka, przypomina mi o przeszłości Milicza.

Był to gród kasztelanii piastowskiej wymienianej już w bullach papieskich XII stulecia. Kasztelanii, której granice pokrywają się w przybliżeniu z granicami dzisiejszego powiatu. Miasto leżało przy trakcie wiodącym ku Wielkopolsce. Ciągnął nim anno 1124 biskup Otto z Bambergu, jadący na Pomorze Szczecińskie do Bolka Krzywoustego. Z Prus, z Pomorza i z Wielkopolski odprawiano tą drogą pąć do grobu św. Jadwigi, wielkiej cysterki trzebnickiej.

Był Milicz w XIV wieku przedmiotem zaciętych sporów a nawet walk między Janem Luksemburczykiem a Kapitułą Wrocławską, której miasto było własnością. Skończyło się oblężeniem miasta przez wojsko Luksemburczyka, porażką rot kapitulnych i poddaniem grodu Janowi przez broniącego go arcybiskupa Henryka z Wierzbna. Za targnięcie się zbrojne na miasto, biskup Nanker wyklął zdobywcę. Dopiero jednak następca wielkiego patrioty w fioletach, biskup Przecław z Pogorzeli wyjednał od Jana zwrot miasta.

Krzewy coraz bardziej dziczeją, schodząc w dół ku podmokłej łące, przez którą przetacza się rzeka. Smółki, leśne stokrotki, purpurowe jasnoty plamiste tkają zieleń w drapieżne, quattrocentońskie wzory. Są tutaj nawet drobne, fioletowe kosaćce, tak typowe dla sztuki schyłkowego gotyku. Jasny pasek nadrzeczny złoci się niby tło gotyckiego obrazu. To już nad samą rzeką. Ale dalej, za smugą wody, gdzie w oliwkowych zatoczkach kołyszą się wodorosty, rozprzestrzenia się pejzaż szeroki, nasłoneczniony na drugim, błękitny na trzecim planie. Tam nie widać już linearnych konturów. Tam wszystko tonie w złotawej, rozwibrowanej oddali, impresjonistycznie, powietrznie i zjawiskowo.



Fragment milickiego parku

Nie żałuję, że znalazłem się tutaj, na tej peryferii niespodziewanej. Miasto z jego domami, z jego nudą prowincjonalną — zostało tam, za tym parkiem, za tą bramą, przez którą wyruszył przed dziesięciu laty pyszałkowaty hrabia, aby „fuer Fuehrer und Vaterland" zabijać, plądrować, palić. W tej chwili jest pusto wkoło mnie. Chłodem, przegniłymi trawami pachnąca woda bulgoce w brunatnych zatoczkach. Jakiś ptak pokrzykuje w parku.

A ten głos ostry, drapieżny, zawieszony na obłoku konarów przypomniał mi to, czego jeszcze nie mogłem stwierdzić naocznie. Pewną szczególną cechę milickiego powiatu. Tereny tego powiatu przecięte są doliną Baryczy. Wody rzeki dopływają do Odry za pośrednictwem krótkich, szerokich dolinek polodowcowych. Dolina rzeki Baryczy stanowi jeden z największych na terenie Europy środkowej rezerwatów wszelkiego ptactwa. Niedawno, za pośrednictwem Wrocławskiego Oddziału Państwowej Rady Ochrony Przyrody, władze wojewódzkie Dolnego Śląska uznały cały ten, bardzo rozległy obszar za teren podległy ochronie. W polodowcowej pradolinie Baryczy, stanowiącej odrębny zupełnie okrąg ornito-fauny, roi się od rzadkiego ptactwa. Liczne stawy w sąsiedztwie rzeki, gęsto porośnięte szuwarem, dają znakomite schronienie, gdzieindziej już bardzo rzadko spotykanym gatunkom. Mewy, rybitwy i czajki. Perkozy, szablodzioby i bataliony. Wszyki, brodźce, czarne bociany, zdrawie a nawet czasem i kormorany stwarzają z tego obszaru krainę niezwykłą zupełnie. Dodajmy do tego wielkie bogactwo ryb w stawach pradoliny Baryczy a odnajdziemy od razu gospodarczą stronę tematu.

Słońce pochyla się coraz niżej jak wielki czerwony kwiat. Od rzeczułki, ciągle napływa charakterystyczna woń wody, szuwarów, błota. Ptaki w parku coraz to ostrzej, namiętniej i niespokojniej skrzeczą, świszczą, pokrzykują przed snem. Podnoszę się i przez park, wzdłuż fasady pałacu powracam w kierunku miasta.

Na ulicach jest popołudnie. Ciche, letnie, trochę przymglone. Dzień roboczy jest zakończony. Powrócili już ze swej pracy urzędnicy i pracownicy fizyczni. Stoją teraz na progach swych domów lub grzebią się w swych ogródkach. Ciche spokojne życie prowincjonalne.

Popołudniowa, senna, prowincjonalna godzina wciąga mnie powoli w swój nastrój. I ja tak się przechadzam znużony jakbym powrócił z pracy w biurze, spółdzielni, warsztacie. Myśl jednak pracuje niezmordowanie, wywołując z pamięci coraz to jakieś nowe zasłyszane fragmenty dziejów starego Milicza. Średniowiecznej kasztelanii piastowskiej nie było dane uniknąć losu innych miast dolnośląskich. Płonęło w walkach husyckich, drugiej ćwierci XV stulecia, przeżyło najazdy Szwedów oraz Duńczyków pod wodzą Tostersona, nawiedzała je kilkakrotnie zaraza, straszliwe morowe powietrze, nękające kraje europejskie aż po 2 połowę XIX stulecia. Znało Napoleona, Aleksandra I i oczywiście „Starego Fryca".

Za tego „Starego Fryca", który przeszedł się kilkakrotnie po ulicach Milicza, chudy, sępionosy i przygarbiony, wspierając się na swej cienkiej laseczce, w kapeluszu „dreiecku", spod którego na chude plecy spływał srebrny jęzor harcapa, za tego to Fryderyka Wielkiego dźwignęło się nieco miasto i rozkwitł w nim przemysł wełniany. Jak grzyby po deszczu wyrosły w ulicach „gemuetlich" kamieniczki i domki, obok zaś stanęły koszary kawaleryjskie, w których 1 pułk pruskich ułanów przez cały wiek XIX ochraniał potęgę Hohenzollernów. Iluż młodych Polaków musiało znosić w murach tych koszar niemieckich gorzką poniewierkę rekrucką pod okiem i pod szpicrutą pruskiego podoficera. Ileż młodych, wrażliwych sumień musiało znosić udręki, gdy pułk ułanów milickich szarżował w roku 1848 pod Książem na wielkopolskich powstańców Mierosławskiego, gdy zwalczał franctireurów francuskich pod Sedanem, Orleanem, Paryżem, gdy cwałował przez ziemie polskie w ogniach 1 wojny światowej. Z tego to właśnie 1 pułku ułanów wywiódł się, mówiąc nawiasem, pierwszy as niemieckiego lotnictwa, ojciec duchowy Moelderów i Gallandów, rotmistrz von Richthofen.

A jak było z polskością Milicza? Od roku 1139 miasto jest grodem książęcym, kasztelanią piastowską. Przed tym teren zamieszkiwali Ślęzanie. Jeszcze zaś na początku XIX stulecia Samuel Bandtke mógł stwierdzić powszechność mowy polskiej we wszystkich wsiach okolicznych. Występowanie języka polskiego we wsiach całego powiatu stwierdzają przeróżne źródła, zapiski, raporty i sprawozdania niemieckie z okresu przed puczem Hitlera, dodając jednak od razu, że język ten występuje „tylko gdzie niegdzie". Wynika z tego wszystkiego, że żywioł polski wypierany skutecznie z miast, utrzymał się we wioskach powiatu niemal do czasów ostatnich.

Władze i społeczeństwo polskie organizując tu życie w roku 1945 miały do przezwyciężenia niewątpliwie znaczne trudności, ponieważ miasto nie posiada tej bazy operacyjnej przemysłu, w jaką wyposażone są Wałbrzych, Dzierżoniów lub chociażby Bielawa. Rolniczo obszar powiatu nie jest specjalnie bogaty. Gleby — żytnio-ziemniaczane na ogół. Jeśli chodzi o warunki hodowli, to przed wojną cały obszar był specjalnie wydajny pod względem hodowli świń, konkurując z sąsiednim województwem poznańskim. Poza tym był tu słynny ośrodek produkcji wozów wiejskich, co w dobie motoryzacji całkowicie straciło znaczenie.

I to już. I to wszystko. Z punktu widzenia turystyki ani miasto, ani też powiat, wyjąwszy chroniony obecnie, obszar pradoliny Baryczy, nie jest atrakcyjny bynajmniej. Pod względem uzdrowiskowym powiat nie ma żadnego znaczenia. A jednak podobnie jak w innych miastach i powiatach D. Śląska rozkwita tu nowe życie. Osadnicy rolni po wsiach, robotnicy i inteligencja w dawnym grodzie piastowskim, postanowili trwać. Szabrownicy, kombinatorzy i ludzie słabi odpłynęli już dawno. Pozostał element czynny, pracowity, świadomy. Ten element każdego dnia utrwala polskość Milicza. Wiąże miasto z niedalekim Poznaniem. Wiąże je z bliskim Wrocławiem. Patrzy w przyszłość z pogodą.

TADEUSZ ZELENAY

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Pierwsza orka traktorem

Spod błyszczących gąsienic, chłodnicy i dłoni
wytrysnęły obłoki, uderzyły w słońce.
— „Jedzie, jedzie mój Jasieńko płowy
na maszynie gorącej..."

I skowronki — żywe nuty, stanęły w powietrzu
lub spadały jak bujne rosy.
— „Hej, wybierał je świt z tarniny
jak pastuszka głóg ze swych włosów..."

Zaśpiewały dziewczęta przepasane wiatrem,
że w ich sercu są dróżki, mięty i wieczory.
Lecz pękł błękit w ich oczach, kiedy w nie wjechali
złoci chłopcy na spęczniałych traktorach,

Wówczas starzy przypadli piersiami do ziemi
porażeni zapachem ropy:
— „Precz! precz! Bijcie końskie kopyta
w zadymiony i wrogi motor!" —

— My kopyta mamy z ognia i stali.
Oprócz mięśni — instrukcje i plany.
Zdejmujemy z pola suche miedze,
jakby palce zaciśnięte na krtani.

Pięść usuńcie! To właśnie na pomoc tej dłoni —
nasze ścięgna stalowe, krew, śmiech i benzyna.
Wzrok podnieście podcięty gorącym żelazem
by go traktor jak promień wyminął..." —

I szła orka, najgłębsza ze wszystkich
jakie znały ugorne płaty,
bo sięgały rozpalone lemiesze
aż do głębi starego świata.

WITOLD ZECHENTER

Pokój

Pierwsze kwiaty wiosny, zawilce, kokoryczki,
młodość świata w szczupłym bukieciku,
o, gdyby zamienić w słowo ich zapach świeżości,
byłoby to słowo p o k ó j.

Pióropusz dymu nad zgiełkiem płomienisk
w wytężającym huku huty,
gdyby zamienić w słowo spoconą treść pracy zwycięskiej,
byłoby to słowo p o k ó j.

Uśmiech dziecka, znasz przecież
ten pachnący mlekiem bezzębny uśmiech w wózeczku,
gdyby w słowo zamienić wyraz tych oczu niebieskich,
byłoby to słowo p o k ó j.

Cisza pracowni pełnej ksiąg,
szelest papieru lub bełkot w probówce,
gdyby treść laboratoriów w słowo zamienić,
byłoby to słowo p o k ó j.

Wiersz noszony naprzód długo w sercu,
potem skroplony w nerwowym ostrzu ołówka,
gdyby szmer powstającego na kartce zamienić w słowo,
byłoby to słowo p o k ó j.

Tym słowem serce bije,
tym słowem dzwonią modlitwy dzwonów,
tym słowem kochamy, śmiejemy się i pozdrawiamy,
tym słowem błogosławionym: p o k ó j.

Miliony ludzi ze wszystkich krajów świata
w setkach języków, narzeczy i gwar
wymawiają dziś to słowo p o k ó j
jak słowa: zwycięstwo! szczęście! przyszłość!

Urok i powaga Weimaru

(Dokończenie ze strony 1)

ność epoki przełomowej: liberalizm dążył do jedności świata ludzi „oświeconych", a równocześnie, zwalczając monarchów, kliki dworskie i arystokrację i opowiadając się po stronie „ludu" i „narodu" (la nation), rozbudził poczucie narodowe i „dumę narodową", która później nieraz prowadziła do nacjonalizmu i szowinizmu.

Zasadnicze przeciwieństwa epoki zaostrzyły się u Goethego, ponieważ był Niemcem z Zachodnich Niemiec, wychowanym i wykształconym na wzorach klasycznych i w duchu specjalnej dosyć kosmopolitycznej kultury zachodnio-europejskiej swojego czasu. Jak jego Faust, dążył usilnie do pogodzenia pierwiastka germańskiego z romańskim, gotyku z klasycyzmem, nordyckiego mistycyzmu i niepokojącej żywiołowości z śródziemnomorskim umiarem i konkretną zmysłowością. W dramacie o Fauście najsilniej przejawia się to dążenie w tęsknocie bohatera do ideału klasycznego piękna ucieleśnionego w Homerowej Helenie. Tragiczną śmierć Euforiona, owocu miłości nordyckiego Fausta i śródziemnomorskiej Heleny, i niemożność osiągnięcia doskonałej, idealnej syntezy gotyku z klasycyzmem odczuwa Faust bardzo boleśnie. Goethe, wielbiciel gotyckiego dzieła Erwina ze Steinbachu i klasycznej architektury zarazem, pojętny uczeń Herdera, zachwycający się Biblią, Shakespearem, Hansem Sachsem i poezją ludową i równocześnie sztuką starożytnych Hellenów w ujęciu Winckelmanna, jest cały w tym tragizmie epizodu z Heleną w drugiej części „Fausta". Tragizm ten pogłębia i większą goryczą zaprawia u Goethego ta jeszcze okoliczność, że wewnętrzna potrzeba zharmonizowania gotyckości z klasycznością nie była u niego samą tylko dążnością do pogodzenia ze sobą różnorodnych tendencji wykształcenia oraz treści kulturowych, ale wiązała się ściśle z silnie odczuwaną potrzebą ujęcia pierwotnego, nieświadomego dążenia osobowości w ramy uświadomionego sobie kierunku i pogodzenia irracjonalnych popędów i skłonności z racjonalistyczną skłonnością do rozumowego uporządkowania własnego wnętrza i otaczającego świata. Była potrzebą pogodzenia natury z kulturą i zamiany natury w sobie na świadomą swych społecznych celów kulturę. Nie na wiatr wypowiadał poeta we wierszu pt. *„Natur und Kunst"* słowa:

Natur und Kunst, sie scheinen
sich zu fliehen
Und haben sich, eh' man es denkt,
gefunden...

I w zakończeniu tego wiersza:

— In der Beschränkung zeigt
sich erst der Meister,
Und das Gesetz nur kann uns
Freiheit geben. —

Przekonanie o indyferentyźmie olimpijczyka Goethego szerzyli i nawet zarzuty pewnego immoralizmu stawiali autorowi „Fausta" ludzie, którzy wychodzili z założeń idealistycznego poglądu na świat i dualistycznej metafizyki. Tymczasem Goethe, pozostający pod wpływem monizmu Spinozy i, mimo pewnych idealistycznych założeń, pod wpływem swoich badań przyrodniczych, z których wyłoniła się myśl o ewolucji, coraz bardziej zbliżający się do naukowego realizmu, odrzucającego wszelkie niesprawdzalne fantazje na temat tego, co „transcendentne", nie uznawał absolutnego dobra i absolutnego zła i dobro i zło uważał za równouprawnione i stale sobie towarzyszące przejawy tej samej siły.

Nie był więc potomek Łukasza Cranacha ze strony rodziny matki ani olimpijczykiem-estetą, obojętnym na sprawy ludzi, ani ciasnym filistrem. Przekonanie o indyferentyzmie Goethego mogło się wytworzyć u powierzchownych obserwatorów jego dzieła i życia, bo wielki twórca i mistrz życia zarazem umiał, gdy zachodziła potrzeba, odsuwać na plan dalszy sprawy, które mogły działać niekorzystnie, czy hamująco na jego rozwój duchowy i na jego pracę twórczą w danym momencie. Była to po prostu rozsądna ekonomia wysiłków człowieka, który chciał coś zrobić i potrafił czegoś dokonać. Coś z tradycji mieszczanina niemieckiego tkwiło również w osobie autora „Wilhelma Meistra". Były w nim najlepsze, najzdrowsze cechy niemieckiego mieszczaństwa: uparta pracowitość, dobre przyzwyczajenie do systematycznej pracy i szczere zamiłowanie do swobodnie wybranej pracy, głęboka radość ze swojego rzemiosła. Nie odziedziczył natomiast Goethe przykrych wad niemieckiego mieszczaństwa. Goethe był zresztą człowiekiem o tak olbrzymim bogactwie duchowym, o tak zdumiewającej u jednego człowieka wielostronności uzdolnień i zainteresowań, że zdziwiony badacz jego życia i spuścizny najrozmaitsze aspekty i najrozmaitsze, czasem i sprzeczne elementy w nim znajduje. Słusznie uważa *Wirpsza* w *„Odrodzeniu"* z 28 sierpnia r. 1949 [Nr 35 (248)] Goethego za ostatniego wielkiego mistrza europejskiego renesansu, który wyraził to, co w tym kilka wieków trwającym prądzie kulturalnym było najlepsze: najgłębsze i najtrwalsze. Będąc zaś świetnym ostatnim wyrazicielem renesansowego humanizmu, był autor „Ifigenii" i „Fausta", poeta i uczony przyrodnik zarazem, myśliciel-teoretyk i praktyczny organizator pracy cywilizacyjnej, zapewniający ludziom pracę i chleb codzienny, teoretyk i reżyser teatru, prawnik wchodzący w głąb istotnych zagadnień socjalnych i równocześnie plastyk bezinteresownie zakochany w pięknie kształtu, linii i barwy i znawca architektury, typowym geniuszem renesansowym, pod względem wszechstronności uzdolnień i zainteresowań dający się porównać tylko z Leonardem da Vinci i Michałem Aniołem. W tak wielostronnym człowieku tyle było rozmaitych ludzkich wartości i cech, że wydaje się nam, jakby naprawdę już nic ludzkiego nie było jemu obce. Nawet i pewne wady i pewne śmiesznostki. I filistra niemieckiego możemy czasem dostrzec w wielkim poecie i poważnym radcy z Weimaru.

Wiemy więc już, czym nie był autor „Ifigenii" i „Fausta" i czego mu nie wolno lekkomyślnie przypisywać. Chcemy jednak dzisiaj już *pozytywnie* wiedzieć, jakie głębokie wartości przyniosła jego twórczość kulturze Europy i jakim był właściwie ten tytan, tak wielostronny i jak legendarny Proteusz wciąż się zmieniający. Ciasne ramy niniejszego szkicu nie pozwalają na szczegółową analizę utworów poetyckich Goethego i ważnych momentów jego rozwoju jako człowieka i jako twórcy. Musimy poprzestać na podaniu gotowych wyników naszych własnych analiz i dojrzałych przemyśleń, korzystających oczywiście w szerokiej mierze z osiągnięć obfitej literatury naukowej poważnych, odpowiedzialnych znawców dzieła Goethego.

Autor „Fausta" to *poeta ciągłego głodu życia, ruchu i czynu, który daje człowiekowi cel życia i zmusza go do budowania cywilizacji.* W *„Prologu w niebie"* Mefistofeles wspaniale określa to wieczne nienasycenie Fausta, którego duszę chce uwieść i zgubić:

Vom Himmel fordert er die
schönsten Sterne
Und von der Erde jede höchste
Lust,
Und alle Näh, und alle Ferne
Befriedigt nicht die tiefbewegte
Brust.

Ale sam głód życia i wyżycia się i sama energia człowieka czynu i chęć znaczenia to żywioł, to moc soków życiowych ale nie ta szlachetna wyższa dążność, która nie tylko jednostce pozwala zdobywać sobie miejsce na ziemi, ale także rodzi dobro pospólne, dobro grupy społecznej, któremu się rozumnie podporządkowują egoizmy cywilizowanych i zaprawionych do życia społecznego jednostek. Ażeby zaś pełen soków żywotnych i ochoty życia człowiek mógł działać na korzyść społeczeństwa, mógł coś więcej zdziałać, musi być — według Goethego — wyraźną *osobowością:*

Höchstes Glück der Erdenkinder
Das ist doch Persönlichkeit.

Zdecydowaną osobowością trzeba być: człowiekiem o wyraźnym obliczu i konkretnych zainteresowaniach, zajęciach i celach życiowych. Osobowością, co jest zupełnie czymś odmiennym od aspołecznego skrajnego indywidualizmu. Osobowością trzeba być, to znaczy także być człowiekiem nieustannie się rozwijającym, niestrudzenie dążącym do harmonijnego i pełnego rozwoju swych naturalnych skłonności i zdolności — do doskonałości. Człowiekowi pełnemu energii żywotnej i zdolności umysłowych nigdy to, co jest i co on już posiada, nie wystarcza. Ciągle pragnie się dalej rozwijać i ciągle zdobywać nowe światy — dla siebie i dla swoich towarzyszy. Jednym z głównych celów człowieka jest praca nad własnym rozwojem, jest samokształcenie i świadome kształtowanie swojej postaci („Selbstbildung"). To główny cel Wilhelma Meistra z *„Wilhelm Meisters theatralische Sendung"* i *„Wilhelm Meisters Lehrjahre"*, to jeden z celów Fausta, któremu ani scholastyczna wiedza książkowa, nie poparta doświadczeniem, ani niskie zmysłowe użycie nie wystarczyły. Według Goethego, człowiek jest zarówno produktem swego środowiska, jak i wytworem swej własnej pracy nad sobą. W odczuciu swych granic i swojej ułamkowości, swojej niepełni, ciągle szuka dopełnienia, dąży do pełni. Pełnię zaś spodziewa się znaleźć, próbując wszystkiego, co ludzkie. Faust mówi:

...Und was der ganzen Menschheit
zugeteilt ist,
Will ich in meinem innern Selbst
geniessen.

To dążenie do jak najpełniejszego rozwoju swej osobowości i ta chciwość zaznania wszystkiego, co bywa udziałem ludzi, to renesansowe rysy humanizmu Goethego.

Dobrze znany i tyle razy stwierdzany goethowski kult osobowości i rozwoju człowieka posiada jeszcze inny aspekt, dotychczas raczej nie zauważony. Autor „Fausta" i „Metamorfozy roślin" zarazem wierzy w prawo jednostki ludzkiej do rozwoju, *ponieważ nieustanne przemiany i nieustanny rozwój zauważa w życiu przyrody, której człowiek jest cząstką.* Wiadomo, że badania z zakresu morfologii roślin i nad kością międzyszczękową doprowadziły mędrca z Weimaru do odkrycia zmienności form i gatunków całego świata materii organicznej i ścisłej jedności całego świata przyrody, który cały podlega jednemu prawu: *wiecznego ruchu i wiecznych zmian: wiecznego rozwoju.* Nieustanny rozwój jednostki ludzkiej to nie jest dla Goethego jakiś obowiązek narzucony jakoby człowiekowi przez jakąś siłę nadziemską, tylko prawo natury. Kto chce żyć, musi iść naprzód. Faust przeżywa tragiczne rozczarowania życiowe, które są udziałem ludzi ciągle błądzących, i widzi, jak złośliwy duch przeczenia psuje jego pracę, jak demonizm i dialektyka bytu sprawia, że, jak cień za słońcem, idzie za dobrym czynem zło jego negacji. Ale w wielkiej grze o jego duszę z diabłem on jest zwycięzcą, bo nie przeszedł na nędzne diable podwórko i zawsze dążył wzwyż, zawsze się trudził. Toteż będzie zbawiony:

Wer immer strebend sich bemüht,
Den können wir erlösen.

Faust jest moralnym zwycięzcą i Pan wygrywa zakład z diabłem także i przede wszystkim dlatego, że dobrobytu i szczęścia chciał niestrudzony poszukiwacz nie dla siebie, tylko dla towarzyszy, dla swojego „wolnego ludu, dla społeczeństwa. Szmat ziemi wydarł morzu, aby zorganizować pracę i pomyślność śmiałego i skrzętnego ludu. Tytaniczny i odrzucający bogów *Prometeusz* z okresu burzy i naporu poety pracuje, tworzy, kształtuje i walczy w imieniu całej ludzkości. *Egmont* dochodzi do poznania, że w szczęściu ogółu i poświęceniu jednostki dla ogółu zawarte jest zadowolenie jednostki. W *„Wahlverwandschaften"* chęć wyżycia się osobistego ustępuje w końcu potrzebom życia społecznego i rygorom prawa obowiązującego w grupie społecznej. W *„Wędrówkach Wilhelma Meistra"* („*Wilhelm Meisters Wanderjahre*") sprawa potrzeb i rozwoju jednostek usuwa się zupełnie w cień i bohaterem dydaktycznej powieści, czy zbioru utworów powieściowych, staje się już zbiorowość. Stary Goethe snuje tutaj utopie społeczne, plany reform w duchu socjalizmu utopijnego. W ten sposób poeta, tyle razy pomawiany o daleko idący indywidualizm, amoralny estetyzm i wyniosłą obojętność dla potrzeb i cierpień społeczeństwa, ukazał swoje prawdziwe oblicze: człowieka znającego obowiązek podporządkowania się jednostki dobru ogólnemu.

Na tle idealizmu Schillera, a zwłaszcza zupełnie oderwanego od życia idealizmu magicznego i solipsyzmu Novalisa, na tle dziwactw i zwyrodnień idealistycznej filozofii niemieckiej oraz „choroby wieku" wielu skłóconych z życiem i swoim czasem romantyków Niemiec i Francji, uwydatnia się bardzo wyraźnie *realizm i ziemskość Goethego.* Poeta i badacz, który *czyn* uważał za początek wszystkiego i *w działaniu* tylko uczył poznawać siebie i drugich; myśliciel, który żądał, aby wszystkie zdolności stały się sprawnościami, nie znosił teorii i fantastycznych hipotez nie opartych o granit doświadczenia. Żądał stawiania konkretnych celów oraz ich stopniowej realizacji. Jako poeta, który wyczarował w swych dziełach cały świat tryskających życiem postaci — konkretnych charakterów, osadzonych mocno w twardym gruncie świetnie dojrzanych środowisk, jest jednym z wielkich mistrzów realizmu. Jako realista, który dobrze odgaduje życie i, mimo wszystkich swych ciężkich walk i tytanicznych załamań, optymista w ostatecznej konkluzji, który każe wierzyć życiu, jest autor „Fausta" bliski naszej epoce.

Jako ten Niemiec, który pragnął pogodzić gotyk z klasycyzmem, pierwiastek germański z romańskim i nigdy się nie krył z swoją silną sympatią dla kultury Francuzów i Włochów, jest Goethe także dla nas dzisiaj *wzorowym Europejczykiem i doskonałym obywatelem świata. Jego duch wskazuje dzisiejszym Niemcom nową drogę do Weimaru,* po zupełnym zerwaniu z nieludzkim duchem Poczdamu. *Goethe to wielki humanista, także i w naszym, współczesnym tego słowa znaczeniu.* Wiele myśli i dążności tego pisarza, który urodził się dwieście lat temu, i dzisiaj zdumiewa nas swoją świeżością i aktualnością, chociaż nie można w całej pełni rozumieć jego dzieła i postaci bez znajomości epoki, która go wydała.

Autor rozprawy o katedrze strasburskiej i tylu sugestywnych i na znajomości rzeczy opartych obrazów pracy oraz dialogów na temat pracy i techniki w swoich utworach prozaicznych, wielbiciel rzemiosła i samorodnej poezji Hansa Sachsa, wyprzedza znacznie swoją epokę jako poeta pracy i budowania cywilizacji. Podobnie jak później nasz Prus, własny swój naród oceniał według tego, ile dał europejskiej cywilizacji. Ten Niemiec, którego tępi Niemcy pomawiali o brak uczucia narodowego i kosmopolityzm, zdobył dla Niemców większy i piękniejszy świat niż Fryderyk II i Bismarck.

Jako poeta, postawił Goethe poezję niemiecką na wyżynie przed nim nie spotykanej. Dał arcydzieła liryki, epiki i dramatu. O jego lirykach, stanowiących perły światowej poezji, słusznie mówi Gundolf w wspominanej już książce, w stosunku do której zresztą mamy dzisiaj niejedno zastrzeżenie, że wzruszenie osobiste poety wyraża się w nich w mowie jako doskonały melodyjnorytmiczny twór językowy. Epika niektórych jego utworów to epika klasyczna, a potężne dramatyczne dzieło całego życia „Faust" to dramat, który mimo swych potknięć, zdumiewa wielkością zasadniczej koncepcji, bogactwem szczegółów, głębią myśli i niezwykłą rozległością horyzontów myślowych. Jako przyrodnik, był Goethe genialnym poprzednikiem Darwina. Autor „Fausta" i „Pokrewieństwa z wyboru" wyraził wszystkie żywotne tendencje i prądy swojej epoki. Najwięcej jednak może pociąga nas do jego spuścizny jego wielki i głęboki humanizm, który zawsze dążył do pełni — dla siebie i dla drugich. Najbardziej zdumiewa i zaskakuje renesansowa wszechstronność tego człowieka, który błądził, chwiał się i upadał, ale zawsze w końcu cało z opresji wychodził i tak niesamowicie wiele przeżył i poznał. Goethe odpowiada naszemu pojęciu wielkiego człowieka, herosa ludzkości. To, że zauważamy w nim także demonizm człowieka, czyni tylko obraz jego postaci żywszym i większym. Ludzkie, arcyludzkie, głęboko i ciepło, dotykalnie ludzkie — to urok, to magia Weimaru. Niestrudzone tragiczne dążenie do przezwyciężenia animalicznie — ludzkiego i przemiany natury w kulturę to trudny, ale wielki przykład i trudna nauka Weimaru.

Zdzisław Obrzud



Dom w ogrodzie (Rysunek Goethe go)

J. W. GOETHE

Odwiedziny

Wybiło serce: „W mig na konia!"
Ledwo pojąłem. Już się stało.
Wieczór kołysał do snu błonia,
od gór zwiesistym chłodem ziało.
Spęczniał cieniami dąb — u stoku
i w niebo sterczał olbrzym — ołów.
Z lasu patrzyła noc głęboka
tysiącem czarnych oczodołów.

Księżyc wytoczył się nad chmurę
i żałościwie zerka na dół.
Łopocą wiewy skrzydłem burym,
w samo mi ucho ktoryś zadął.
Potworów noc nagromadziła,
lecz mej uciechy nie odmienia:
ileż upału wiozę w żyłach,
a w sercu — ile promienienia!

Do ciebie jadę. Dojechałem
i spojrzeń twych słodycze piję,
sercem ci się podścielam całym
i tobie tchnę i tobą żyję.
Najdroższe lico, włos na głowie —
w obłoku wiosny, w różach, blaskach.
I miłość ku mnie! O bogowie!
Anim zasłużył. Skądże łaska?

Wtem świt i słońce i żegnanie
i serce, co nieomal pęka.
W twych pocałunkach — ach, oddanie,
w twych oczach — rozdzielenia męka.
Odjeżdżam. Stoisz wedle ściany,
łza płynie z oka coraz gęściej...
A jednak szczęście być kochanym
i kochać — jakież wielkie szczęście!

Rozdwojenie

Wciąż wybrankę w ramionach żądliwie trzymam, a serce
ku jej piersi się ciśnie, w jej sercu przepaść by chciało.
Albo się głowa na kolano skłoniła toczone,
oczy zaś miłośliwie ku ustom wstępują, ku oczom.
„Pieszczoch!" — szydzi ktoś z boku. — Tak spędzasz dobę po dobie?!"
Spędzam. I w jakiej biedzie! Posłuchaj, współczuj z nieszczęsnym!
Otom się od jedynej odwrócił uciechy żywota:
dzień dwudziesty w podróży po ziemiach, które nie nęcą.
Gniewa woźnica, oberżysta przychlebia się ślisko,
byle posługacz kłamie i podejść niecnie próbuje.
Kiedy zaś, tym uciekłszy, powierzę się poczcie, dopiero
konie a poczta udręka, a jeszcze na domiar celnicy.
„Nie rozumiem. Niezgodnyś ze samym sobą, a już się wydawało, że rajsko beztroski, że drugi Rinaldo".
Ach, zrozumiej do głębi: li ciało moje w podróży,
duch zaś wiecznie ku łonu się garnie umiłowanej.

Prośba

Tolerujcież mię na siodle,
sami w domach, wolni jazd.
Niechże jadę w dal swobodnie,
a nade mną tuman gwiazd.

Nokturn

Nad wszystkimi górami
spokój.
Kniei — znieruchomiałej
wokół —
nie trącą dmy.
Ptak ani piśnie ługom.
Czekaj, niedługo
spoczniesz i ty.

Eros odmienny

Eros — nie dziecię, lecz młodzieniec, co Psychę uwodzi —
zawędrował na Olimp, rozglądał się butnie, zwycięsko.
I boginię zobaczył ze wszystkich najdostojniejszą:
Afrodyta to była Niebiańska. Zapłonął kochaniem.
Ale i pani zapłonęła i poszła z Erosem.
Legli, a uścisk ich splata żelazny, owocujący.

Tak się począł z obojga syn Eros, lecz nowy, odmienny:
po rodzicu porywy, po matce miał obyczajność.
Zawsze go w orszak Muz napotkasz, a groty kończyste,
które wystrzela, miłość budzą ku pięknu i sztuce.

Cisza na morzu

Głąb i głusza wielkiej wody,
ani drgnie powierzchnia mórz.
W zatroskaniu patrzą pływcy
na gładziznę wszerz i wzdłuż.
Znikąd wiewu. Trup powietrza.
Przeraźliwy bezczyn nieb.
Po widnokres ocean
w kamień skrzepł.

Z niemieckiego spolszczył
TADEUSZ BOCHEŃSKI

Wśród klasyków prozy czeskiej

CZESKI SIENKIEWICZ

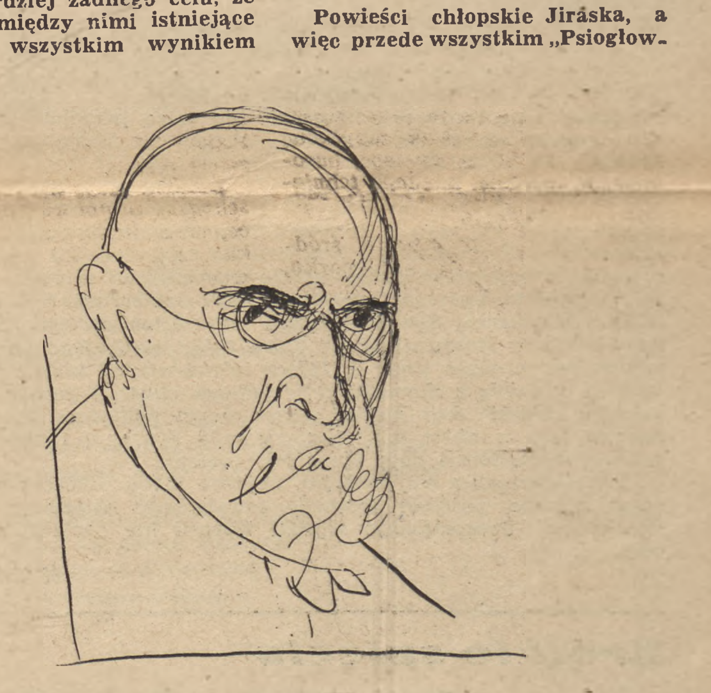
Śledząc wśród ruchu wydawniczego ukazujące się coraz częściej i liczniej przekłady z literatury czeskiej — przy ciągłym jeszcze braku przekładów z literatury narodu słowackiego — dochodzimy do wniosku, że nasza współpraca kulturalna z Czechosłowacją w dziedzinie literatury wchodzi w drugą już fazę. Po pierwszym okresie gorączkowego trochę i przypadkowego przyswajania językowi polskiemu czeskich nowości wydawniczych, czyli powieści możliwie najświeższej daty, wydawcy nasi zaczęli systematycznie interesować się czeską przeszłością literacką bliższą i dalszą. Dzięki temu czytelnik polski będzie miał możność zaznajomić się z najwybitniejszymi dziełami literatury czeskiej drugiej połowy wieku XIX oraz wieku XX wraz z okresem międzywojennym. Najżywszą inicjatywę wydawniczą przejawia tu chyba Państwowy Instytut Wydawniczy, który zapowiada książki Bożeny Niemcovej, Karoliny Svietlej, Jana Nerudy, Alojzego Jiraska i innych pisarzy należących do klasyków prozy czeskiej. Ale już ostatnie tygodnie przyniosły na rynek księgarski kilka książek minionej literatury czeskiej, których omówienie zbliży je czytelnikowi polskiemu.

Porównanie Alojzego Jiráska z Sienkiewiczem nasuwa się nie tylko polskiemu krytykowi czy czytelnikowi. Spotykamy je także w czeskiej krytyce i historii literatury. Ale przyjmować je trzeba z licznymi zastrzeżeniami, które zresztą zawsze mu towarzyszą. Cechy wspólne tych zjawisk literackich, które tworzy powieść historyczna tych dwóch pisarzy są bowiem dosyć powierzchowne. Różnice natomiast między nimi są istotne. Obydwaj byli wprawdzie wielkimi „pokrzepicielami serc", ale Sienkiewicz szukał tego pokrzepienia w gloryfikacji nie najszczęśliwszej epoki Polski szlacheckiej, podczas gdy Jirásek, objąwszy swą twórczością znacznie szerszy okres dziejów swego narodu, pokrzepienie to czerpał z niezniszczalnej siły żywotnej ludu czeskiego, z jego nieustannych walk o sprawiedliwość, dobro i postęp, z jego buntów i feniksowej zdolności odradzania się po najcięższych klęskach. Sienkiewicz to przede wszystkim epik wojen, żołnierskich czynów i przygód, epik szlacheckiego świata, który odszedł w przeszłość bezpowrotnie. Jirásek natomiast to przede wszystkim epik ruchów społecznych i walk o prawdę, postęp i sprawiedliwość, a więc wydarzeń, które stanowią wiecznie żywe i odradzające się elementy tradycji narodowej. Sienkiewicz to malarz scen historycznych, wiązanych w pełną temperamentu i dynamiki akcję, podczas gdy Jirásek to pisarz społeczny o filozoficznym spojrzeniu na dzieje własnego narodu i rozumiejący ich nurt ideowy.

Podkreślanie tych różnic nie ma na celu wywyższania Jiráska ponad Sienkiewicza. Nie miałoby to tym bardziej żadnego celu, że różnice pomiędzy nimi istniejące są przede wszystkim wynikiem odmiennej struktury społecznej narodów, które reprezentują, i rezultatem odmiennych dróg rozwoju historycznego tych narodów. Jeśli więc stosujemy zestawienie Jiráska z Sienkiewiczem, to głównie dla ułatwienia czytelnikowi polskiemu zorientowania się w pozycji historyczno-literackiej czeskiego pisarza. Natomiast dorobek Jiráska w dziedzinie powieści historycznej nasuwałby jeszcze porównanie z innym pisarzem polskim, mianowicie z Kraszewskim. Obydwaj ci prozaicy realizowali podobny plan twórczy, obydwaj postawili sobie za zadanie stworzenie powieściowego obrazu dziejów swego narodu od czasów najwcześniejszych po wydarzenia o najświeższej perspektywie historycznej. Obydwaj zamiar ten w grubszych zarysach wykonali. Jirásek prócz literackiego opracowania starych legend czeskich i drobniejszych opowiadań stworzył wielki cykl mniejszych i większych powieści historycznych, dających rozległy i sugestywny obraz dziejów swego narodu w okresie walk i ruchów husyckich, panowania Jerzego z Podiebradu, Białej Góry i następującej po niej niewoli, w okresie terezjańskim i józefińskim wraz z pierwszą fazą wielkiego odrodzenia narodowego. Pomijając kilka drobniejszych i mniej ważnych prac o tematyce współczesnej, powiedzieć można, że w realizacji tego swego zamiaru doszedł do wypadków roku 1848. Krytyczne i mądre spojrzenie na przeszłość narodową bez skłonności do jej przesadnego gloryfikowania, ścisłe powiązanie sprawy narodowej ze sprawą walki o prawa ludu uczyniły go jednym z wielkich wychowawców narodu i sprawiły, że stał się jednym z najpowszechniej czytanych i znanych pisarzy Czechosłowacji, że stał się pisarzem mas.

W ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu Jirásek (1851—1930) doczekał się przekładu kilku swych powieści na język polski. Ale praktycznie już przed wojną przekłady te były dla czytelnika polskiego niemal zupełnie niedostępne. Pierwsza książka tego pisarza ukazująca się u nas po wojnie, stanowi wznowienie dawnego przekładu. Jest to jedna z najlepszych jego powieści, napisana w r. 1884. Tytuł jej „Psiogłowcy"*) brzmi dla polskiego czytelnika może trochę dziwnie, więc wyjaśnić warto, że oznacza on wolnych chłopów z okolic Chodu, szczycących się sztandarem z wizerunkiem psiej głowy i pod tym znakiem pełniących swą służbę na granicach państwa.

Bohater tej powieści, chłop Jan Sladky, zwany Kozina, jest jedną z najpopularniejszych postaci literackich w Czechach. U nas taką popularnością cieszyli się Skrzetuski czy Wołodyjowski. Tam zyskał ją chłop walczący nieustępliwie o poszanowanie wolnościowych przywilejów nadanych chłopom chodzkim za zasługi położone dla kraju. Walkę tę toczy z obcym magnatem Lammingerem reprezentując w niej rozsądek i zdolność realnej oceny sytuacji w przeciwieństwie do zapalczywych i nieopatrznych jednostek, które wierne wojowniczym tradycjom Chodów, podnoszą zbrojny bunt, który z góry skazany jest na krwawe stłumienie i który staje się bezpośrednią przyczyną śmierci Jana Koziny na szubienicy. Tematycznie więc powieść „Psiogłowcy", której akcja toczy się pod koniec XVII wieku, należy do bogatej w Czechach literatury, poświęconej licznym i krwawym buntom chłopskim, które raz po raz notują dzieje tego ciężko doświadczonego narodu. Nie będzie w tym chyba przesady, jeśli powiemy, że tematowi temu czeska powieść historyczna zawdzięcza swe najpiękniejsze karty, że w zakresie tego tematu najlepiej manifestuje swój demokratyzm i postępowość.



Alojzy Jirasek *Rys. Lucyna Wranik*

Powieści chłopskie Jiráska, a więc przede wszystkim „Psiogłowcy" i wcześniejsi od nich, zapowiedziani również w polskim przekładzie „Skalacy", należą do jego najlepszych dzieł. Jirásek, obok współczesnego mu Zygmunta Wintera pierwszy reprezentuje w czeskiej powieści historycznej realizm, zrywający z romantycznym stylem powieściowym, który w okresie początków jego twórczości stawał się już szablonem i manierą. Realizm ten polega przede wszystkim na operowaniu materiałem konkretnych faktów historycznych, na sięganiu po istotne problemy ideowe epoki, na osadzaniu postaci powieściowych i wątków w realnej rzeczywistości historycznej i społecznej. Charakterystyka indywidualności ludzkich jest wprawdzie jeszcze uproszczona, opiera się na kontrastowaniu barw białej i czarnej, ale metoda ta stosowana jest z umiarem w granicach psychologicznego prawdopodobieństwa. Kompozycję podważa często epicki rozmach i rozległość kreślonego obrazu historycznego przy wyraźnej rezygnacji z metody koncentrowania akcji na losach jednostek, z naciskiem natomiast na losy większych czy mniejszych grup społecznych, na ich dążenia, walki, klęski czy zwycięstwa.

„Psiogłowcy" nie stanowią sprawdzianu tej ostatniej ogólnej cechy powieści historycznych Jiráska. Są opowieścią skomponowaną zwarcie, o wyraźnie zarysowanym wątku indywidualnym i zbiorowym. Jan Sladki Kozina wysuwa się w niej jako postać centralna, ale mimo to jego losy osobiste włączone są ściśle w zasadniczy motyw powieści — w walkę chłopów chodzkich o swe prawa wolnościowe. Psychologicznie najciekaszy moment powieści to urastanie Jana Koziny pod naporem walki i rozgrywających się zdarzeń w postać bohaterską o legendarnym już trochę zakroju. I tu właśnie mimo uproszczeń charakterystyki indywidualnej mamy potwierdzenie realizmu psychologicznego Jiráska. Prze-

(Dokończenie na stronie 4)

*) Alojzy Jirasek: „Psiogłowcy", obraz historyczny, przełożyła Julia Dutkowska - Fischerowa, Sp. Wyd. „Wiedza", Warszawa 1948, str. 277.

Felieton literacki

Równość w obliczu prawa

Sprawa zniesienia poddaństwa z wielkim trudem dotarła do mentalności szlacheckiej w wieku romantyzmu. Pod presją opinii postępowej młodzieży szlachta skłonna była ostatecznie do ociągliwych debat na ten temat: a więc jak to zrobić? uwolnić zupełnie od razu? czy raczej uwłaszczać zwolna, oświecać, oczynszować wpierw? Zatykali uszy natomiast na argumenty tych zagorzalców, którzy śmieli głosić konieczność zrównania szlachcica herbowego z chamem-pańszczyźniakiem! To była kwestia najdrażliwsza, nie do dyskusji wogóle; wyrażenia samego unikano nawet, żeby tfu, tfu, nie wymówić w złą godzinę...

Niech tam sobie szubrawcy wileńscy (szlachetni obrońcy krzywdy społecznej) czy Filomaci gardłują jak chcą, zawsze znajdzie się legion pułkowników Paszkowskich do obrony. Wiadomo było powszechnie, że temuż Paszkowskiemu, obstającemu na zebraniu ziemian wileńskich za utrzymaniem bezwzględnego poddaństwa, jeden z Filomatów przyczepił na granatowym fraku biały karteluszek z napisem: szubienica, później z poematu Mickiewicza zaczęło straszyć widmo dziedzica, któremu człowiek nic nie pomoże, bo nigdy nie był człowiekiem. Daleka od romantycznych uniesień magnateria wielkopolska już w r. 1817 domagała się w adresie przedłożonym królowi Prus: wyraźnej a stanowczej gwarancji nietykalności majątków szlacheckich oraz utrzymania pańszczyzny. Na co tenże król w 4 lata później odpowiada ustawą o — uwłaszczeniu włościan!

O równości społecznej długo ani mowy. Filip z Konopi, młodszy o lat 30 bohater gawędy postępowego Syrokomli, zostaje srodze poraniony przez brać szlachecką na sejmiku za takie oto bezwstydne żądania dla gminu:

Równość w obliczu prawa jak w obliczu Boga,
Jeden statut dla wszystkich, zobopólna rada,
Miejsce w izbie poselskiej, gdzie szlachta zasiada...

Czegóż jednak oczekiwać po dziedzicach - konserwatystach, skoro reformator wysokiego, niezłomnego stempla, Walerian Łukasiński półgębkiem tylko prawi, bo sam nie bardzo wie, czy „proletarom" należy udzielić przywileju równości społecznej czy raczej zwolna przybliżać ich do takowego? Stare hasło Rewolucji, [illegible] Tym głośniej huczy skrajna lewica na emigracji polistopadowej. Gromada Grudziąż w swym słynnym manifeście okrzykuje równość za „kamień węgielny potęgi narodowej" (1835), wydany w rok później Manifest Towarzystwa Demokratycznego w Paryżu [illegible] Worcella, że „bez równości pojedynczy człowiek ani społeczność ani ludzkość posłannictwu swemu nie odpowiadają!"

Osiem dziesiątych emigracji paryskiej było innego zdania. Nie wyobrażali sobie, by przyszłe państwo polskie mogło istnieć bez zachowania źrenicy wolności szlacheckiej, czyli bez absolutnej władzy szlachcica nad pańszczyźniakiem, uwłaszczonym może czy tam oczynszowanym, ale przenigdy... zrównanym. Postulatów lewicy nie przyjmowano po prostu do wiadomości. Juliusza Słowackiego, który „żadnego nie kładł ruchu" i całą duszą opowiadał się po stronie sprawiedliwości społecznej, nikt w ogóle czytać nie raczył: Zręcznie wyminął zasadniczą trudność „Pan Tadeusz", dając aspektów kilka do wyboru. Sam Tadeusz uznaje wyraźnie chłopa równym, wolnym spółobywatelem, uwalniając go wraz z Zosią od pańszczyzny, ale inni snują zastrzeżenia. Podkomorzy niemal szydzi z apostołów równości, Gerwazy w karczmie wywodzi, iż ostatecznie niech już ta równość będzie, ale pod warunkiem uszlachcenia chłopów:

Rębajło wtedy uzna chłopa równym,
Gdy go ujrzy szlachcicem wielmożnym, herbowym!"

Czy i sam Mickiewicz był tego co Gerwazy zdania? Niezupełnie. W artykułach dziennikarskich i przemówieniach przed rokiem 1848 oscylował jeszcze pomiędzy [illegible] programem Tadeusza Soplicy a nieustępliwością Rębajły. Natomiast zawzięci reakcjoniści w rodzaju filozofa Trentowskiego lub poety Zygmunta Krasińskiego podobali sobie w tej [illegible] idei uszlachcenia chłopa w „Psalmach Przyszłości" (1845) Krasiński zaznaczy gromko:

Kto nie z-szlachcił lud nasz cały
Lecz chce szlachtę odrzeć z chwały
. . . .
Ten nie wzniesie gminu dalej!

a później niejednokrotnie wypowie się ostro przeciw uwłaszczeniu chamów nawet we własnych dobrach na Mazowszu. Wiosna Ludów nie wpłynęła wiele na upór szlachty w kraju. Pokazywano palcami nielicznych entuzjastów równości. Autor „Zemsty" odwrócił się plecami do przyjaciela, który śmiał znieść pańszczyznę w swym majątku. Literatura daremnie przekonywała [illegible] Kraszewski, Korzeniowski, Żmichowska. Raczono ich czytać, nie raczono w najskromniejszej mierze wprowadzać w życie ich haseł. Heroldem upartym sprawiedliwości społecznej stał się Stanisław Moniuszko. Syn i bratanek na wskroś postępowych obywateli, którzy stosowali na co dzień takie niesłychane, zaiste rewolucyjne, mrożące krew w żyłach obszarników ideały: obiadowali w niedzielę z chamami przy jednym stole. W pomyśle i wykonaniu „Halki" daje mocny wyraz swym poglądom. Jakże znamienna jest w akcie 4 krótka odzywka Jontka („I cierpienia"), gdzie głos waltornii daje efekt tak potężny.

Nic to wszystko nie pomogło. Dopiero rządy zaborcze we własnym chytrze pojętym interesie oswobodziły chłopa z niewoli szlacheckiej. Potępiającego wyroki historii nie chcieli do końca uniknąć.

KUJAWUS

Rozmowa o teatrze

Życie teatralne w Polsce zgodnie z tendencjami Ministerstwa Kultury i Sztuki stabilizuje się coraz wyraźniej z sezonu na sezon. Przesunięcia personalne na stanowiskach dyrektorów i wędrówki aktorskie trwają wprawdzie nadal, ale nie są już zjawiskiem tak powszechnym i [illegible] formy. Inicjuje je bowiem przede wszystkim i reguluje Ministerstwo, które znając całość obrazu stosunków teatralnych w kraju dba o wyrównanie różnic między poszczególnymi ośrodkami, o właściwe rozmieszczenie sił aktorskich i twórczych. Możemy powiedzieć, że stopniowo znika z naszego życia teatralnego partyzantka kierowana osobistymi ambicjami jednostek, a coraz silniej przejawia się w nim działanie zorganizowane i planowanie, zmierzające do równomiernego rozwoju kultury teatralnej w całym kraju.

Takie myśli nasunęły mi się, gdy gromadziłem pytania i porządkowałem kwestie przed pierwszą rozmową z nowym dyrektorem Państwowego Teatru w Katowicach, Władysławem Woźnikiem. Nie chcę ukrywać przed czytelnikiem, ciekawym teatralnych nowinek, że do rozmowy tej przygotowałem się ze sporą dozą zaufania do mego interlokutora. [illegible] nym ogniskiem kultury teatralnej [illegible] Śląska a po wojnie jest strażnikiem jego tradycji, [illegible] trudno — uświadomiłem sobie to wszystko i od tych mniej więcej spraw zaczęła się rozmowa.

Chodziło po prostu o sprawę, jaki ma być czwarty etap teatru katowickiego po wojnie. Etap to organizacyjnie nie łatwy. Ale te rzeczy widza nie interesują, chociaż krytyczny obserwator na ich związek z tym, co przynosi sama scena, oczu zamykać nie może. Tutaj zaznaczyć tylko trzeba, że z zespołu scen wchodzących w skład Państwowego Teatru w Katowicach ubywa teatr w Opolu, który wieść będzie znowu życie samodzielne, podczas gdy pozostaje w nim nadal teatr w Sosnowcu, co łączy się ze skomplikowanym zadaniem obsługi całego Zagłębia Dąbrowskiego i terenów przyległych. Ponieważ taka sama próba połączenia kilka teatrów w jeden wielki zespół nie zdała egzaminu także na Śląsku Dolnym, dochodzimy razem z dyr. Woźnikiem do przekonania, że celowe również będzie ponowne wyodrębnienie teatru sosnowieckiego. Nie jest to jednak sprawa sezonu, który nadchodzi, a pozatem rzecz zależy od wielu jeszcze różnorodnych czynników. Tymczasem teatr katowicki będzie starał się o lepsze niż w sezonie poprzednim zaspokojeniu potrzeb teatralnych Zagłębia.

Informacje dyr. Woźnika, pozbawione obliczonych na krótką metę, efektownych zaskoczeń, nacechowane rzetelnością i wszechstronnością ujmowania zagadnień pracy teatru i realną oceną jej możliwości w istniejących warunkach, nie zapowiadają żadnych zmian rewolucyjnych i nie silą się na olśniewające obietnice. W toku rozmowy stwierdzam to z zadowoleniem, że teatr w Polsce znajduje się w fazie rozwojowej, której obca jest wszelka pogoń za [illegible] efektem, za czysto formalnym eksperymentem, za zdobywaniem widza niezwykłością i jaskrawą oryginalnością swoich poczynań. [illegible] go drogą najmniejszego oporu, by nie czynić w teatrze sztuki skomentowaną ideologicznie fotograficzną odbitką rzeczywistości. Forma w tym rozumieniu to możliwie największa doskonałość artystyczna wszystkich elementów widowiska — twórczej inscenizacji nacechowanej nowym, wartościującym podejściem, reżyserii, gry aktorskiej, oprawy scenograficznej i nasycenie tych elementów prawdziwie twórczym wysiłkiem decydującego o ich wartości człowieka. [illegible] stosunku do zagadnień treści i postawy ideowej jest w praktyce wielu teatrów w Polsce nagminne i dziwnie uparte. Zjawisko to jest między innymi i przyczyną tego, że teatry nasze nie umieją dać sobie rady z polityką repertuarową, że narzekają na ograniczone możliwości repertuarowe. [illegible]

Zrozumienie istoty zagadnienia formy pozwoli teatrowi katowickiemu na szerszy wachlarz repertuarowy. Plany repertuarowe nie obejmują jeszcze całego roku pracy, gdyż uzupełnione zostaną jeszcze i sztukami współczesnymi i niektórymi pozycjami wielkiego repertuaru klasycznego. Z grupy drugiej dziś jednak wymienić już można „Balladynę" Słowackiego w inscenizacji Władysława Woźnika, „Hamleta" Szekspira w inscenizacji Osterwy, „Mieszczan" Gorkiego, „Pigmaliona" Shawa i [illegible] „Fircyka w zalotach" Zabłockiego. A sezon rozpocznie „Lekkomyślna siostra" Perzyńskiego. Równowagę elementów sztuki współczesnej reprezentować będą sztuki następujące: „Przełom" Ławreniewa, „Odwety" Kruczkowskiego, „Cement" Wirskiego, „Zapora" Janusza T. Dybowskiego, no i chyba jakaś jedna lub dwie pra-[illegible]

Zresztą w tego rodzaju zapowiedziach należy unikać zbyt wielkiej liczby tytułów. Teatr katowicki z roku na rok rozszerza krąg swych widzów, co zapewnia dobrym spektaklom stałe zwiększanie się liczby przedstawień i z korzyścią dla artystycznej strony pracy teatru zmniejsza ilość koniecznych premier w roku. Uwzględniając ten moment przypuścić można, że repertuar trzech scen tego teatru zamknie się w minimalnej liczbie 12 premier. A zatem i niektóre z zapowiedzianych sztuk mogą jeszcze zostać zastąpione innymi pozycjami.

Zespół aktorski, angażowany wprawdzie jeszcze dosyć doraźnie, bez koordynowania doboru sił z planowanym repertuarem, jest liczny. Obejmuje 45 mężczyzn i 31 kobiet. [illegible] W składzie tego zespołu znajdziemy sporo wybitnych indywidualności aktorskich starszego i młodego pokolenia. Z zespołem tym pracować będzie czterech reżyserów: Władysław Woźnik, następnie znany już publiczności katowickiej z sezonu 1945—46 Roman Zawistowski, który zarazem pełni funkcje zastępcy kierownika artystycznego teatru, Edward Żytecki i pozyskany z Częstochowy Artur Kwiatkowski, który m. in. reżyserować będzie „Pigmaliona" Shawa z występującym w tej sztuce gościnnie Kurnakowiczem.

Tyle zapowiedzi i planów. Wystarczą one chyba, by coraz liczniejsza i bogatsza w swym składzie społecznym publiczność teatralna Śląska mogła oczekiwać na nowy sezon pracy swego teatru z zaufaniem i spokojem.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

O lubowaniu się w atmosferze trupiarni

Pierre Frederix: Mort a Berlin Libraire Artheme Fayard, 1948.

Kim są Niemcy? — oto centralne pytanie tej niepozornej książeczki. Z tym pytaniem w głębi duszy Francuz, były więzień Oranienburga (od chwili kapitulacji Niemiec urzędnik UNNR-y w Berlinie), wędruje po gruzach niespełnionego tysiącletniego imperium hitlerowskiego w poszukiwaniu swej małżonki, tragicznej i heroicznej postaci. Makabryczny reportaż z tego cmentarzyska, jakie przedstawiały Niemcy bezpośrednio po kapitulacji, autor zaopatruje niemniej makabrycznymi refleksjami. Ten człowiek, ciężko doświadczony przez wojnę, osobiście przewędrowawszy piekło niemieckiego bestialstwa, patrzy własnymi udręczonymi oczyma na pobite Niemcy i próbuje zrozumieć duszę Niemców, źródła ich zbrodni, jaki jest ich ésprit de suite i jakie z tego wynikają horoskopy na przyszłość.

W najstraszliwszych chwilach pobytu w obozach niemieckich wszystkich więźniów podtrzymywała na duchu jedna myśl: *„Żyć, aby dożyć chwili zagłady tego piekła, dożyć końca tej barbarii-"* Dożywszy tej chwili, po zajrzeniu w głąb nieodgadnionej duszy Niemców, pyta z trwogą: *„Czy jesteście pewni, że to koniec?... Jakąż mamy gwarancję, że wielki strach naszego wieku minął bezpowrotnie?..."*

Bezmiar zaznanego zła, widok potwornych zgliszcz i ruin, jakie przedstawiały oglądane przezeń miasta niemieckie, wywołują w nim pustkę i zaczyna go stopniowo ogarniać śmiertelny „weltschmerz". Opanowuje go troska i strach o naszą cywilizację, chciałby znać jej sens, chce znać sens dalszego bytu. *„Dlaczego człowiek własnymi rękami w napadzie jakiejś apokaliptycznej furii niszczy to, co własnymi rękami trudem pokoleń budował Czyżby gwałt i okrucieństwo były powołaniem człowieka?"...*

Patrząc na dzieje niemieckiego narodu niewątpliwie odnosi się takie wrażenie. Ale zachodzi pytanie, czy jest to tylko cecha przyrodzona Niemców? Czy wielka krzywda, wyrządzona światu przez hitleryzm, jest tylko wynikiem specyficznie niemieckiego kanibalizmu, niemieckiej żądzy panowania nad światem, niemieckiej idee fixe? Czy inne narody są wolne od tej choroby? Czy rak ten mógłby wystąpić i w innych organizmach narodowych? Czy wykolejenie niemieckie nie jest tylko jednym z objawów powszechnego wykolejenia zachodniej kultury?

Na te pytania pada niejasna, powierzchowna, powiedziałbym, płytka odpowiedź.

Wiadomo, że próbowano to uczynić nie tylko w Niemczech. Oddajmy rządy nad narodami Doboszyńskim, Degrellom, Gaulle'om i podobnego pokroju ludziom, a uczynią ze swymi narodami to samo, co zrobił Hitler. Bo każdy naród, każde społeczeństwo można przy pomocy idei progresywnej porwać ku kulturze, ku wyższej idei człowieczeństwa, albo rzy pomocy idei regresyjnej, wstecznej zepchnąć go na dno antykultury, na dno zezwierzęcenia. Jeśli więc nie stało się z innymi narodami to, co z niemieckim, to dlatego tylko, że nigdzie na świecie, u żadnego z narodów trucizna ta nie zapuściła tak głębokich korzeni, nie opanowała tak dogłębnie mas, jak w Niemczech.

Tą niebezpieczną szczepionką zaś jest osobliwy coctail. Weźmijcie puchar i lejcie po kolei: najpierw trochę idolatrii narodowej, potem porcję junkierstwa, na to ekspansjonizmu koncernowego, szczyptę rasizmu i zalejcie to jeszcze teorią o prymacie rasy nordyckiej, a otrzymacie napój, który tak odurzył naród niemiecki. Czyż zjawisko hitlerowskie nie jest tylko naturalną konsekwencją, syntezą bałwochwalczego ubóstwienia narodu („Das Volk ist alles"), owego „świętego egoizmu" (sacro egoismo Mussoliniego), żywiołowej tendencji kapitalizmu w jego ostatniej postaci imperializmu, idei „herenvolku", rozgrzeszonego a priori z sadyzmu, jeśli jest stosowany wobec ras „podlejszych"? Dodajmy do tego niemiecką systematyczność, posuniętą do absolutu, a jako takich pierwiastków, jako wypadkową takich sił, uzyskamy zjawisko znane pod popularną nazwą faszyzmu. A elementy te posiada jeszcze niejeden naród. *I to jest właśnie ideologia, która cofa człowieka do stanu goryla, która kanibalizm, ludożerstwo stawia jako program zbawienia świata.*

Toteż nie dziwmy się, że ofiara Oranienburga, nasz bohater, nie wytrzymując ciśnienia podobnych pytań i odpowiedzi, zamartwia się nimi na śmierć.

Już w czasie wojny popełniono podobny błąd do błędu naszego bohatera. Amerykanin Lippman, sądząc, że bestialstwo, wykazane za Hitlera, jest szczególną cechą Niemców, im tylko właściwą, proponował po wygranej wojnie dla dobra ludzkości i świata sterylizację Niemców. Oczywiście obecnie stanowisko Anglosasów nie ma już nic wspólnego ze stanowiskiem Lippmana. A zdaje się, że nawet sam Lippman wyparł się swego wczorajszego lekarstwa na chorobę niemiecką.

Tymczasem właśnie jest potrzebna sterylizacja. Nie tylko Niemców. Ale nie taka, o jakiej myślał Lippman. Świat, aby mógł wkroczyć na prawidłową drogę rozwoju pod kątem widzenia prawdziwego człowieczeństwa i szczęścia ludzkości, musi być wysterylizowany z wszelkich miazmatów faszyzmu, muszą być wykarczowane korzenie, z których mógłby odróść, muszą zniknąć wszelkie jego zarodki, rozsadniki, nasienia. Trzeba znać jego znaki szczególne, gdyż aczkolwiek dziś rozćwiartowany, w sprzyjających okolicznościach może zrosnąć się na nowo w niebezpieczne cielsko. Miejsce tego chwastu musi zająć zdrowa i pożyteczna roślina, która narody jednoczy.

Oto jest remedium, którego napróżno szuka Jean Ruffin. Oto jest owo panaceum na wszystkie bóle świata, które go zżerają i wobec których jest taki bezradny.

Niestety, wraz z upadkiem hitleryzmu faszyzm nie zginął. Walka z antykulturą trwa. Nie zdziwi nas też, biorąc pod uwagę wyżej opisaną treść faszyzmu, obecne zachowanie się Churchilla, z jego ideą jedności europejskiej. Kimże jest Churchill? O co walczył z Hitlerem? Czy o te dobra wszechludzkie, które zostały zagrożone i zdeptane? Nie, nie o to walczył Churchill. Walczył on z Hitlerem jako ze swoim konkurentem i rywalem, walczył jako przedstawiciel jednego imperializmu z zagrażającym mu drugim imperializmem. Ale w głębi serca wyznaje on tę samą filozofię co Hitler, tylko z angielskiego punktu widzenia. Dlatego tak łatwo mu dzisiaj głosić przejęte po Hitlerze idee paneuropejskie.

Choroba bohatera książki — z czego nie zdaje sobie sprawy ani autor, a tym bardziej sam bohater — jest doskonałym ucieleśnieniem całej choroby demokracji nie-ludowych, z jej przejaśnieniami i zaciemnieniami, z wykresem wahań gorączkowych jej agonii. Książka jest wspaniałym odzwierciedleniem atmosfery samobójczego egzystencjonalizmu, czarnowidztwa i wszechstronnej desperacji, jaka panuje wśród górnych sfer demokracji kapitalistycznych. Jest w tej książce jakby pewne lubowanie się w atmosferze trupiarni.

W katastroficznym chaosie, jaki powstaje w głowie Ruffina, widzi on nagle światło, ratunek, jedyny ważny problem: jak poprawić człowieka? I proponuje takie środki: personalizm, indywidualną drogę wybawienia siebie. Niech każdy pracuje nad sobą, niech walczy samotnie z psychozą mas, niech znienawidzi historię, maszynę polityczną, niech się zjednoczny wewnętrznie z boskością (!) „piekło, łaska, zbawienie są sprawą osobistą". Śpiewa więc starą, znaną pieśń! Głosi te same stare środki, które już tyle razy wykazały swoją impotencję. Wszak to, co dziś przeżywamy, jest niczym innym jak jedną wielką klapą, bankructwem indywidualizmu, jego schyłkową konsekwencją. Nikt zaś nie zgalwanizuje trupa. Ta ich ucieczka od zbiorowości powstała stąd, że nie umieją żyć ze sobą, że zawiodła na całej linii ich koncepcja współżycia, ich wizja universum, bo ich sposobami już nie można ujrzeć w bliźnim brata i towarzysza, bo oni nie wiedzą, jak należy wspólnie dla wspólnego dobra z wspólną walczyć niedolą...

Z ulgą odkłada człowiek tę książkę, wydzielającą melancholijną chorobę ruin, ów paraliżujący wolę życia katastrofizm, i z radością spoziera w słońce, na liczne szeregi jeszcze nie otynkowanych domów Mokotowa, na jeden, wcale nie największy z objawów tej woli życia i wiary w lepsze jutro, w lepszą przyszłość człowieka na ziemi, wiary, jaka panuje u nas już jako wykwit nowych zasad i nowego sposobu ujmowania rzeczywistości.

Książka jest ciekawa. Czyta się ją miejscami, a są to rozmowy między Francuzem a Niemcami — z zapartym tchem. Może ona stanowić wartościowe dzieło niemcoznawcze i być czymś w rodzaju polana rzuconego na ogień czujności w stosunku do spraw niemieckich. Niestety katastrofizm autora uniemożliwił w wielu wypadkach postawienie zdrowych wniosków, wynikających z bystrej obserwacji.

ERYK SKOWRON

CZESKI SIENKIEWICZ

(Dokończenie ze strony 3)

bieg ewolucji wewnętrznej Koziny postępuje logicznie i jest przekonujący. Bohaterstwo jego mimo tendencji do rysów posągowych, które narzuca pisarzowi tradycja ludowa i legenda, nie pozbawione jest cech prawdziwych i ludzkich. Rzeczywistość historyczna, na której tle występuje Kozina, środowisko chłopów chodzkich, ich sytuacja społeczna i nastroje — wszystko to przedstawione jest wiernie, z dbałością o zgodność z faktami. Ale w końcowej partii powieści w materiał faktów historycznych wkracza legenda. Stojacy pod szubienicą Kozina pozywa kata chłopów chodzkich i sprawcę swojej śmierci Lammingera na sąd Boży. Lamminger do roku umiera. To już jest ludowe dopełnienie dziejów walki i śmierci Koziny. Ale nie temu wpływowi należy przypisywać ten motyw metaficznej sprawiedliwości w zaświatach w powieści Jiráska. Materiał który przekazała mu historia, nie dawał walce chłopów chodzkich i Koziny rozwiązania, które zaspokajałoby poczucie sprawiedliwości społecznej pisarza i czytelnika. Po takie rozwiązanie musiał Jirásek sięgnąć do legendy, która nazwała chodzkiego męczennika za sprawę chłopską świętym. W leniwym biegu historii sprawiedliwość ominęłaby Lammingera. Musiał się więc znaleźć jakiś czynnik — choćby nadprzyrodzony — któryby tę sprawiedliwość wymierzył, musiał się znaleźć widomy znak, że sprawa chłopów chodzkich była słuszna i święta. Pisarz współczesny nam szukałby innego rozwiązania tego problemu artystycznego i ideowego, Jirásek uczynił to w sposób, który dyktowały mu jego czasy.

Z obowiązku recenzenta słów kilka należy się przekładowi. W niektórych partiach gładki i potoczysty zawiera on jednak sporo usterek, a nawet kilka rażących niepoprawności gramatycznych. Znającemu język czeski czytelnikowi jasne staje się, że wiele usterek wynika ze zbyt daleko posuniętej dosłowności przekładu niektórych zwrotów, rzeczowników, czasowników czy przyimków. Ale ta strona przekładu nie budzi jeszcze takich sprzeciwów, jak jego wierność. Porównanie z oryginałem wykazuje osobliwą metodę tłumaczki, która z zasady w całej książce odbiega wcale sobie dowolnie od oryginału, uzupełnia go, skraca, „upiększa" w opisach przyrody i t. p. Od tych niedopuszczalnych dowolności roi się cała książka i z tego punktu widzenia ocena przekładu musi wypaść zdecydowanie dyskwalifikująco. Drugim kardynalnym błędem tego przekładu jest fakt, że piękna, oryginalna i tak odrębna gwara chłopów chodzkich nie znalazła w nim żadnego odbicia. Wszystkie dialogi Chodów przetłumaczone zostały bezbarwną, obiegową polszczyzną literacką.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Ruch wydawniczy

Kto nie pamięta „Krawędzi" Wacława Rzezacza? Wszyscy, którzy tę głęboką powieść psychologiczną o narodzinach powieści przeczytali, długo pamiętają postać Wilhelma Haby, walki, jakie stacza z sobą autor, piękno czeskich miasteczek i Pragi, gdzie powieść toczy swój bystry prąd. „Czytelnik" wydał tym razem drugą rzecz Rzezacza; jest nią „CZARNE ŚWIATŁO", w tłumaczeniu Marii Erhardtowej, stron 233.

Jak to dobrze jest czasem sięgnąć do zapomnianych autorów dawnych lat, jak dobrze jest przewietrzyć nasze wiadomości o literaturze ojczystej, usystematyzowane podług pedantycznych historyków literatury, rzadko zaglądających na boczne tory literatury. Takim bocznym torem jest po trosze nowela fantastyczna, której Julian Tuwim poświęcił antologię, wydaną obecnie przez Państwowy Instytut Wydawniczy p. t. POLSKA NOWELA FANTASTYCZNA, a ilustrował Jan Marcin Szancer, stron 315. Znajdujemy tu utwory Jana Barszczewskiego, Józefa Bohdana Dziekońskiego, Józefa Dzierzkowskiego (rewolucjonisty z roku 1848, uczestnika kampanii węgierskiej), Józefa Korzeniowskiego, Karola Libelta, Władysława Łozińskiego, Józefa Maksymiliana Ossolińskiego (założyciela Ossolineum!), Jana Potockiego, Henryka Rzewuskiego, Lucjana Siemieńskiego i Włodzimierza Zagórskiego. Poczet wybitny a lektura wspaniała i odkrywcza pod każdym względem.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73.
R-019733

Krótkie spięcia

Coś czarnego

Powieść kryminalna, albo jak niektórzy ją nazywali „detektywistyczna", święcąca takie „triumfy" u nas przed wojną, a będąca na zachodzie ciągle jeszcze zwyczajną strawą lekturową przeciętnego czytelnika, przeszła obecnie tam pewne „ewolucje". Mianowicie, jak to zwykle bywa z literaturą sensacyjną, obliczoną nie tyle na wywołanie wzruszeń artystycznych odbiorcy, co na zadowolenie jego niższych instynktów, szybko się ona przejadła, a to z uwagi na wyczerpywanie się podniet.

Długi czas klasyczna powieść kryminalna starała się być czymś w rodzaju łamigłówki p. t. „Kto zabił?" Im bardziej była ta łamigłówka zagmatwana, tym lepiej, i mniej lub bardziej popularni autorzy wysilali się na to, aby do ostatniej strony trzymać czytelnika w tzw. napięciu, zdradzając mu zagadkę dopiero na samiuteńkim końcu. Czasami były to rzeczy nawet zupełnie ciekawe, jako że sam fakt morderstwa stawał się tutaj tylko pretekstem do rozwinięcia i coraz dalszego rozwijania rebusu, a rebus ten przesłaniał zupełnie ową rozlaną krew.

Większość jednak tych powieści była, jak wiadomo, zwyczajną szmirą literacką o bardzo ujemnym wpływie moralnym na czytelnika.

Oczywiście, że w tego rodzaju wydawnictwach celowała w pierwszym rzędzie Ameryka.

Ale ostatnio w tejże Ameryce niektórzy autorzy (a przede wszystkim wydawcy) spostrzegli, że „klasyczny" typ powieści kryminalnej nie bierze. No bo cóż — ludziom wychowanym na gangsterskich filmach i brukowej prasie przejadła się zgadywanka „Kto zabił?" Phi — jeden trup, cóż to jest? Dwa, to już lepiej, a trzy jeszcze lepiej, no i tak dalej.

Postanowiono więc dać temu odbiorcy, łaknącemu więcej krwi, tej krwi, ile tylko zechce i stąd powstała tam w latach powojennych tzw. „czarna powieść" kryminalna". Na czym polega owa „czarna" powieść? Otóż na tym, że już nie żaden rebus jest jej tematem, ale po prostu Grand Guignol, w najgorszym zresztą wydaniu.

Nie chodzi więc na przykład o to, kto zabił, tylko o przedstawienie, jak zabił. Czytelnik tedy otrzymuje w powieści jak najbardziej dokładny i jak najbardziej „realistyczny", wprost niemal kliniczny, opis wszelkich możliwych morderstw i zbrodni, z detalami, od których stają formalnie włosy na głowie. Niczego tu się nie oszczędza, ani wstydu czytającego, ani jego wrażliwości moralnej, lecz podaje się z całkowitą premedytacją i wykalkulowaniem oraz skrajną dokładnością całą ohydę najgorszych czynów, jakie tylko człowiek może popełnić. A wiemy, po ostatniej wojnie, że człowiek może popełnić wiele...

„Czarna powieść" zdobyła sobie z miejsca czytelników, tych łaknących jak najwięcej trupów i czarnych charakterów, popełniających wszelkie możliwe zdrożności, a autorzy i wynalazcy „czarności", jak Cheyney, Chase, Chandler i in. zyskali olbrzymie powodzenie, no i rzecz prosta, kupę dolarów.

„Czarna powieść" w mig przekroczyła Atlantyk i zalała obecnie Europę zachodnią, rugując stamtąd powieść kryminalną dawnego typu, czyli powieść „białą" (to znaczy tylko z jednym trupem) oraz wszelką inną lekką literaturę. Jest to właśnie ta osławiona „literatura amerykańska", którą na zachodzie sprzedają wszystkie kioski z gazetami, a o której często się u nas z oburzeniem, i to słusznym, pisze.

Oczywiście, że w tych krajach, a specjalnie we Francji, ludzie, którzy nie chcą być w ten sposób „amerykanizowani" z miejsca przeciwko temu zalewowi ohydnej i zbrodniczej tandety zaprotestowali i ciągle protestują, ale wiadomo, że to jeszcze nie wiele pomaga. Gdy na przykład nie zakaże się handlu narkotykami, to żadne protesty przeciwko używaniu narkotyków nie pomogą. A któryż kraj w zmarshallizowanej Europie wyda zakaz sprzedawania „czarnej powieści"...?

No i „czarna powieść" triumfuje, zaś czytelnicy znajdują w niej takie opisy, jak duszenie gołymi rękami prostytutki przez degenerata sadystę (drukowana w „France - Dimanche" w odcinkach (!) powieść Chase'a p. t. „Dziewczątka, miejcie się na baczności"), jak mord dokonywany na jakimś jegomościu przez wkręcanie mu korkociąga do czaszki (powieść Cheyney'a) jak znowu męczenie innego przez przypalanie go lampą do lutowania itd., itd.

Nic więc dziwnego, że od czasu zalewania zachodniej Europy przez „czarną powieść", wzrosła tam szalenie ilość wszelakich przestępstw.

Ale tego naturalnie nie dostrzegają rządzący. Bo pomijając same przestępstwa, nie chcą (bo nie oficjalnie mogą!) zdawać sobie sprawy, iż tego rodzaju literatura jest najbardziej potworną formą ogłupiającej „rozrywki", prowadzącej w prostej linii do duchowej anarchii.

NIEJAKI X.

FRASZKI

O ŁAPOWNIKU

Raz ktoś w rękę łapownikowi
wsunął pieniądze fałszywe.
Ten rzekł: — „Ach, jak po tej wojnie
spadła w narodzie uczciwość!"

O PEWNYM SATYRYKU

Zgarniałbyś za swe dowcipy honoraria w milionach
gdyby, zamiast od sztuki, od wagi za nie płacono.

DO ZAROZUMIAŁEGO DYGNITARZA

Patrząc na twój majestat, na maniery pół-boga,
na przejęcie, z jakim cedzisz słowa —
natarczywej pokusie ledwie się oprzeć mogę,
by ci kurek wkręcić do głowy.

JERZY JESIONOWSKI